

PRZED NAMI DWA MIASTA...

EWA OSTROWSKA

IMPERTYNENCJE POD ADRESEM KULTURY MASOWEJ

...Kulturę robi się pod statystycznego obywatela. (—). Poza cyframi wiele instytucji kulturalnych nie widzi człowieka". (Z Wojewódzkiej Rady Młodej Inteligencji przy KW ZMS).

...Gonimy za efektami. (—). W powiecie skierniewickim cała uwaga skierowana na zorganizowanie nowego, wielkiego zespołu artystycznego, zaniedbując niezwykle ważną Akcję — „Szkola”. (Z Plenum KW ZMW, poświęconego zagadnieniom kultury na wsi).

CYFRY SĄ NAGIE

Wierząc w mądrość wszystkich wielkich, na brak których skarżyć się przecież nie możemy, zostawmy w ich resorcie spekulacje na tak intratny temat, jakim jest „entropia albo wszystko o stabilizacji kultury”, a sami zajmijmy się sprawą mocno niewdzięcznymi, (bo konkretnymi) i bezowijania w bawelne, powiedzmy sobie głośno o tym, o czym mówi się na ucho w wielkiej tajemnicy: — województwo łódzkie pod względem korzystania z kultury jak również wyposażenia w placówki kulturalno-oświatowe wlecze się na końcu ogona statystycznego.

A województwo łódzkie to jest 38 miasteczek i 23 osiedla typu miejskiego, razem 61, a to jest dwieście tys. mieszkańców, czyli 40 proc. ogólnej ilości ludności miejskiej naszego województwa, i to jest: czterdzieści tysięcy młodzieży.

I województwo łódzkie to również: kilka tysięcy wsi, w których samej młodzieży żyje ponad sto tysięcy.

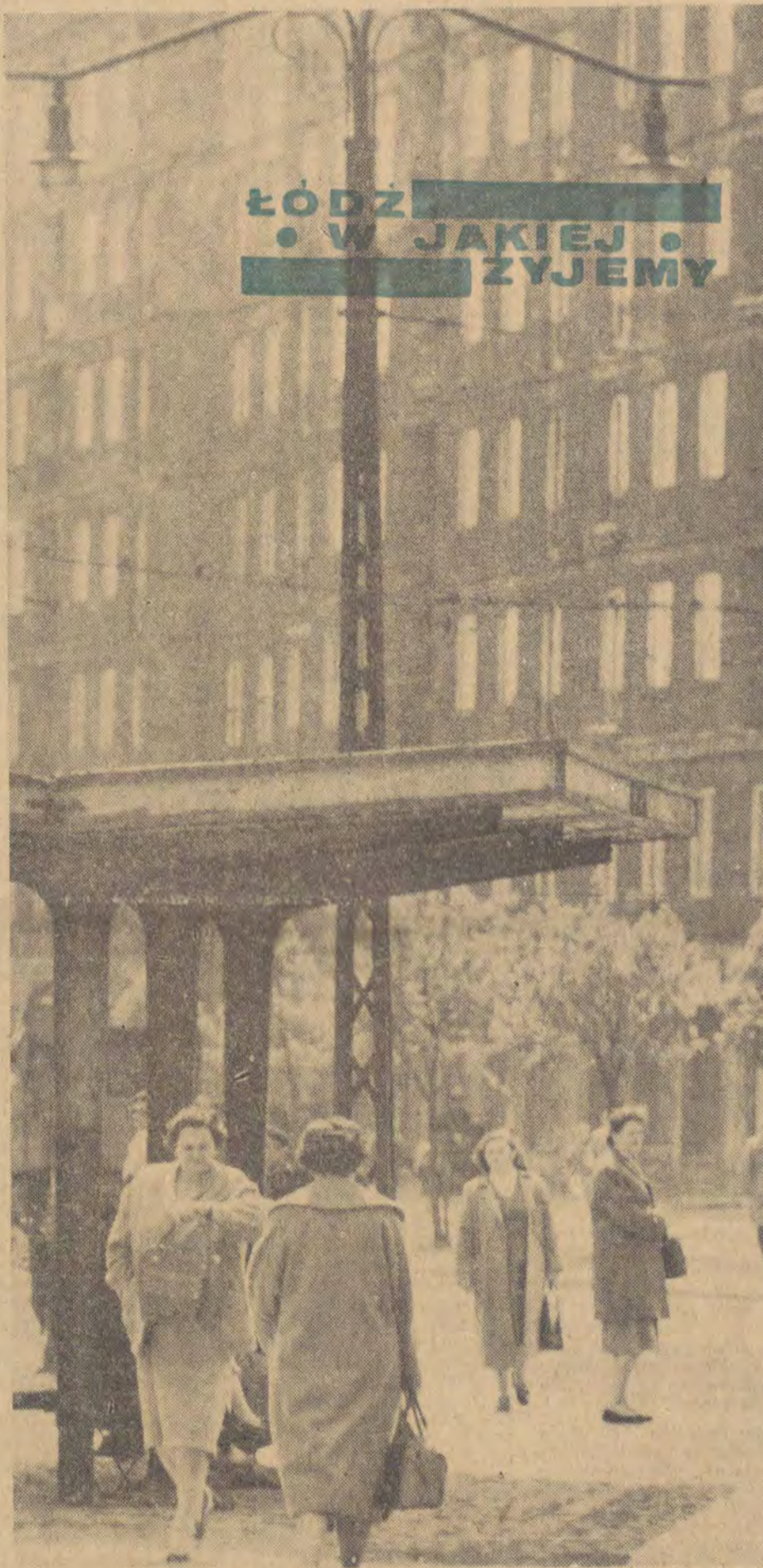
Cyfrы są nagie. Lecz szukać długo nie trzeba, aby wystawić obok tych — długich ciąg innych, wystrojonych

w optymistyczną perspektywę. Dziesięć tysięcy robotników zatrudni w niedalekiej przyszłości w kopalniach węgla brunatnego tylko jeden Belchatów, który teraz straszy po nocach odpowiednich pracowników odpowiednich resortów. Właśnie ta część województwa, która wprowadza rażące dysproporcje na mapę rozmieszczenia układu sił wytwórczych województwa — południowe jego tereny, najbardziej chyba zabiedzone, typowo rolnicze, przeobrażają się w potężny okręg przemysłowy. Linia Działoszyn — Pajęczno już zapoczątkowana. Belchatów, Wieluń, Rogoźno, wszędzie są bogactwa naturalne, które stają się bazą ekonomiczną wielostronnego rozwoju tych terenów.

KULTURA MASOWA RÓWNA SIĘ CHAŁTURĄ

Plan aktywizacji małych miasteczek, obliczony długoterminowo na pięć lat (1960-65), objął 41 osiedli typu miejskiego. Zadanie

Dalszy ciąg
na str. 2



ŁÓDŹ
• W JAKIEJ •
• ŻYJEMY •

Z CYKLU: NOWA ŁÓDŹ

Fot. W. Bilinski

Mieliśmy trzynaście lat łódzkiego „programu minimum”. W ciągu trzynastu lat nie wyciągnęliśmy wniosków ani z życia ani ze statystyki, zadowalając się pozorami zwycięstw. W gazetach okresu 1945-58 od czasu do czasu czytaliśmy o tym, że „znowu kilkanaście rodzin przeniosło się do nowych słonecznych izb, przy czym akcent był położony na „słonecznych” — słusznie bowiem uważaliśmy słońce za symbol socjalistycznych przemian. Starczyło nam tych słonecznych tytułów na długich trzynaście lat, a przecież wśród pięknych słów ukryta była nie najlżejsza prawda o dziesiątkach tysięcy rodzin czekających na mieszkanie, prawda bijąca nawet z danych łódzkiej statystyki.

O tym, że już w 1950 roku Łódź była krajową rekordy mieszkaniowej biedy: 48 proc. wszystkich mieszkań stanowiły mieszkania 1-izbowe (w Warszawie — 34 proc., w Krakowie — 28, Poznaniu — 11, a w Gdańsku i Szczecinie nawet niżej 5 proc.). Nędza nie nazywalimy tego, że 57 proc. izb pochodziło sprzed 1917 roku, a tylko 3 proc. z okresu po ostatniej wojnie, że więc większość łódzkich mieszkań już w 1950 roku stała przed widmem śmierci technicznej. Nie wyciągaliśmy jeszcze żadnych praktycznych wniosków i z tego, że na 100 łódzian aż 70 chodziło po wodę z wiaderkiem do studzien, 66 wylewało nie czystości na ulice, 83 na 100 myło się w miednicach, a 80 jak każdy król pieszo chodziło do szatni.

Co gorsza — program jaki sobie w owym okresie nakreśliśmy, okazał się niedopasowany do naszych możliwości: w okresie 1950-55 chcieliśmy zbudować pierwotnie 41.800 izb, a zbudowaliśmy tylko 18.040, ponieważ zaś jednocześnie święciliśmy triumfy w przyroście naturalnym i przybyło nam 64.000 nowych dusz — zagęszczenie na jedną izbę w Łodzi jeszcze wzrosło. 70 tysięcy rodzin zaś czekało na mieszkanie, bo to były rodziny bez własnego dachu nad głową, gnieźdzące się katem, gdzie popadło.

Okres 1948-58 zamknął się takim bilansem: przybyło w Łodzi 95.205 nowych obywateli (najłatwiej jest kochać się na koszt państwa ludowego) a izb jedynie 47.962, wskutek spłotu trudności gospodarczych.

Wyzwolenie zaś z tego fatalnego spłotu przyszło dopiero w ostatniej chwili — nacisk ze strony matek przychodzących do kwaterek z żywymi „załącznikami” i nacisk statystyczny osiągnęły

Dalszy ciąg
na str. 8

WANDA KARCZEWSKA

GDZIEŚ NA GREEN ROADS...

Jest już blisko północ, ale naraż ciemność, zamiast zgęstnieć, zaczyna blednąć, bieleć. Tylko z prawej strony auta jest jakaś ogromna wyspa ciemności, której jeden daleki brzeg obramowany jest nitką światła na brzoźnych. Od tego morza mroku płynie ku nam nareszcie chłód; wylaczany aparat klimatyzacyjny, otwieramy szeroko wszystkie okna i wóz wypełnia świeżość, jedrna rześkość, ostry wiatr. To jezioro Michigan

— dwadzieścia dwa tysiące mil kwadratowych powierzchni wody zimnej i krystalicznej, rozlewającej się w stanie Michigan i Indiana; płuća zadymionego Chicago.

Potem zostawiamy za sobą tę rześką ciemność, wpławiamy się w sieć ulic, skrzyżowań, światła drogowych. Pojawiają się zabudowania — magazyny, fabryki, składy, potem wjeżdżamy w dzielnicę standardowych jedno i dwurodzinnych domków, bliźniaczo do siebie podob-

nych: suterena i wysoki parter, z drownianymi schodkami wewnątrz i odaskiwanym gankiem; fronty wąskie dwukienne. Domy budowane są w głąb parcel, oddzielone od siebie wąskimi przejściami, na te przejścia wychodzą okna, przez które sąsiad sąsiadowi może podać ręce. Na gankach siedzą starzy, palą fajki, ziewają — sami czarni; to murzyńska dzielnica; na schodkach polegają i baraszkują dzieci — osiem czarnych kędzierza-

wych łebków, dziesięć czarnych łebków, czternaście czarnych łebków... Wzdłuż domów samochody po obu stronach.

Przeglądam się im przez szybę auta ciekawie, moi towarzysze milczą; spostrzegłam potem, że oni nie lubią walczyć z tym, „kwestii murzyńskiej”, ona ich drażni. Kiedyś będę jechała przez tę dzielnicę ze świeżą i rader gorliwie zamerykanizowaną Polką, z ową Jean, pa-

miętać ją z pierwszego reportażu, usłyszę wtedy:

— Przyjrzyj im się dobrze, widzisz jakie mają domy, auta? Takie same jak my, a wy powiadacie, że Ameryka gniebi Murzynów. Patrz tę ulicę i te wszystkie przecznice, które minęłyśmy i te przed nami — to wszystkie obsiadli czarni; to jest czarne morze, które zalewa Chicago. Patrz, ile tu dzieci, oni się piodzą jak króliki, ostatnie spisy wykazały ich 600.000, ale ich trudno policzyć, uchwylić prawdziwą liczbę, masami przyjeżdżają z Południa; mój mąż powiada, że za piętnaście, dwadzieścia lat burmistrzem miasta będzie czarny. Spójrz na ten dom, to był nasz

dom, ten na rogu, widzisz, jeszcze kilka lat temu, ale ich dzielnica podeszła pod naszą ulicę, a jeśli na ulicy zamieszkałej przez białych jeden właściciel sprzeda dom czarnemu — reszta domów spada w cenę i wszyscy biali wyprowadzają się czym prędzej, bo wiedzą, że za rok, dwa, wehlonie ich czarne getto; myśmy też dlatego uciekli...

Tyle opowiedziała mi Jean. Do kwestii murzyńskiej wrócimy jeszcze. Teraz od pary Irlandczyków dowiedziałam się, że z tej samej przyczyny oni opuścili Chicago, a mając siedmiorgo dzieci i wo-

Dalszy ciąg na str. 5

Szkice amerykańskie (VII)

Dalszy ciąg ze str. 1

pionierskie, kosztujące władze województwa dwa miliardy i zadanie ambitne, bo zamierzające przenicować od podstaw ekonomicznych, kulturalnych, obyczajowych utarte pojęcie prowincji, nadając odmienny sens, znaczenie i rangę życiu ludzi, mieszkających za rogatkami wielkiego miasta.

Bo za rogatkami wielkiego miasta zaczyna się teren, w którym swoje plenipotencje zgłasza kultura masowa. Sam ten dziwoląg słowotwórczy dyskryminuje prowincję, zakładając elitaryzm pewnej odmiany stosunków kulturalnych, które mają służyć być niemasmowym. Bo jeżeli teoretycznie stosuje się dyktando kultury, to znaczy, że istnieje obok masowej kultury jakaś inna, specjalna, zaś praktyka wskazuje na jej uprzywilejowaną pozycję. Wprowadzenie do powszechnego użycia, ściśle socjologicznych terminów jak na przykład „konsumpcja kultury”, spowodowało powstanie takich wulgaryzmów jak „masowy konsument kultury”, formalnie sankcjonując ową wyższość kultury niemasmowej, tej, jaka przysługuje wielkiemu centrum miejskiemu. Wszelkie z niej od pady i braki wędrują poza rogatkę, podkreślając przedziały kulturalne, obyczajowe, a nawet i społeczne. Oznacznikiem kultury masowej jest w tych warunkach najczęściej *chaltura*. Ona to umacnia i pogłębia kompleks prowincji.

Chaltura i chalturszczenie opanowało prowincję, kryjąc się za szyldem kultury masowej. To co nie ma zbytu w centrum, wypycha się na prowincję. Wielu grasujących szalbierzy, różnych „polykaczy noży”, „płosenkarzy światowej sławy”, „humorystów”, zespołów „rozrywkowo-kulturalnych” zbija kosztami prowincji i jej prawdziwych niezaspokojonych potrzeb kulturalnych grubszą forszę. I nie tylko szalbierzy. Pojawiają się wśród nich nazwiska ludzi znanych, szanowanych, które w małym miasteczku wywołują zrozumięte zainteresowanie i ścigają tłumy. Lecz oto Wiech na wieczorne autorskim w Łęczycy potraktował swoje audytoryum sposobem, pospolicie zwanym „lewą ręką za prawe ucho”, rozprawiając się z P.T. publicznością łęczycką w przeciągu pół godziny. Oto Hanka Bielicka przyjeżdża po raz wtóry do tej samej miejscowości z identycznie takim samym programem, wysilając się jedynie na zmianę tytułu. Za podobne występy tuli się w sumie tysiące złotych, w ewidencjach są z odpowiednim entuzjazmem zapisywane nazwiska z rangą przeciętą, a ludzie odchodzą ośmieszani, upokorzeni, ośmieszeni.

Nagminne jest zjawisko kiwania prowincji w butelkę. Do bibliotek publicznych sprzedaje się przestarzałe buble książkowe, i te pozycje „które zupełnie nie idą” w miastach. W zwykłych stosunkach między ludźmi deprecjonuje się mieszkańców prowincji. Nauczycielka z małego osiedla, agronom, inteligencja pracująca w małych miasteczkach, spotykają się z nieuzasadnionym umniejszaniem ich wartości. Ludzie, mieszkający na prowincji, traktowani są często jako mniejszość narodowa. Ten stosunek wynika z wciąż jeszcze obowiązującej tradycyjnej pogardy do środowisk prowincjonalnych. A kultura masowa, która się tam pożyła na odczepne, zaspokoili się byle czym. Tym więcej, że nie stosuje się przecież żadnej kontroli wszystkich,

rzucanych w teren programów. Przeciwnie, instytucje są usatysfakcjonowane, pozbywając się kłopotliwego balastu, jakim jest budżet na kulturę.

CO SIĘ KRYJE ZA STATYSTYKĄ?

Gdyby z ludnością zamieszkujecej 61 łódzkich miasteczek, utworzyć jedno miasto, to na dwieście tysięcy ludności przypadłoby: 450 świetlic, 20 Domów Kultury, 150 kin, 30 ognisk artystycznych, blisko 600 bibliotek, kilkanaście klubów ZMS.

Tyle właśnie placówek kulturalnych przypada na dwieście tysięcy miejskiej ludności województwa łódzkiego. Dane nie przedstawiają się najgorzej. A jeszcze kryją się za nimi wielomilionowe wkłady, sumy wręcz astronomiczne, które należy uzupełnić dwumilionowym „dodatkiem” przeznaczonym na aktywizację. Wydawałoby się, że za takie sumy można by na nowo zbudować niejedno województwo.

Naszemu nie starcza. Kul-

RZECZ (POSPOLITA) ŚWIETLIOWA

Z 450 świetlic przyzakładowych i innych — 60 proc. albo w ogóle nie działa, albo, jeśli działa, to tak (pomijając już fakt, że świetlice przyzakładowe są zamkniętymi klanami: „wstęp tylko dla pracowników”):

potancówka z wódką, burdą i milicją (świetlica PSS, Rawa Mazowiecka), brydz, kilka na krzyż czasopism, gry stołkowe. Przeważnie ohydnie urządzone budy, tandetne i brudne, w których kulturę ma zastąpić telewizor. Większość „działających” świetlic czynna jest aż do... godziny szesnastej, czyli w praktyce — nieczynna. Nikt przecież natychmiast po skończeniu pracy nie pędzi ukulturować się do świetlicy, każdy jeszcze musi zjeść obiad, pomieszkować w domu. Ale później może już tylko pocłapać kłamek. W Szczercowie, Warszawie wszystkie świetlice po południu są zamknięte. Po co więc są? Dla statystyk? Nowe Miasto poszczycić się może dziewięcioma klasztor-

bał — jeszcze jeden kłopot, taki Dom Kultury — i cegłę zabrano, wygruzowano nią wyboistą drogę. Dobrze, że chociaż przydała się na coś...

Wiesz nazywa się Biała i leży 17 km od Łodzi.

W innej wsi — pobliskim Galkówku, działa doskonale zorganizowana świetlica, znana w województwie zespół pieśni i tańca, koło fotografików-amatorów, Uniwersytet Powszechny szósty rok prowadzi systematyczne wykłady, odbywają się spotkania autorskie, odczyty. W świetlicy własnymi siłami urządzono niezwykle gustowny, miniaturowy klub — kawiarnię (nie ma warunków lokalowych na większy, estetyczny, czysty, własnoręcznie pomalowany, z własną metaloplastyką na ścianach. Nikt w Galkówku nie wygląda wieczorami czarownic lecących na Sabat.

Dwie wsie w tym samym województwie i dwie antypody. Skąd się biorą takie rażące dysproporcje, charakterystyczne nie tylko dla poszczególnych wsi, lecz i dla poszczególnych miasteczek?

IMPERTYNENCJE pod adresem KULTURY MASOWEJ

tura — beczka bezdenna pochłania każdy fundusz, a o blicze prowincji wciąż zaspasane, zaplesniałe tradycyjnym marazmem. Co stanowi przyczynę tego zastanego stanu rzeczy; chociaż ogromne wysiłki, partii, organizacji młodzieżowych ZMS i ZMW, potężne wkłady finansowe powinny przynieść radykalną odmianę na lepsze?

Spróbuję wyjaśnić:

W powiatach rawskim, bełchatowskim, poddębickim, skierniewickim — czyli na jednej trzeciej obszaru województwa nie stoi ani jeden z tych 20 Domów Kultury. Lecz mniejsza o bieżącą planistykę, gdyż nawet, te istniejące są z reguły przybytkami... pasywnej nudy. Zaniedbane, zdewastowane, nierzadko pozamykane na cztery spusty, pracują w urzędniczym trybie: nieczynne w niedziele i święta i po godzinach pracy. W ich budowę włożono grube miliony, ich utrzymanie corocznie pochłania setki tysięcy po to, aby się tam nic, lub prawie nic nie działo.

Sale teatralne DK służą głównie jako sale konferencyjne dla wszelkiego rodzaju zjazdów, narad; a zespoły artystyczne spełniają funkcję usługowych kukiełek, które pokazuje się kilka razy do roku jako atrakcję (i osiągnięcie kulturalne) regionu na okazyjnych uroczystościach (Szadek, Wieluń); dla zapchania statystyki organizuje się wystawy (sporadyczne), lub odczyty (przypadkowe) jak na przykład DK w Łęczycy. I takie są główne tendencje „działalności” kulturalnej 20 DK.

O Domach Kultury pisała w „Polityce” Barbara Michałowska. Że w nich rozpacz i nędza. Sąd Michałowski pasuje jak ulał do łódzkich DK. Lecz równocześnie nie ta ich kulturalna nędza nie może pozostać bez wpływu na opinię środowisk społecznych. A wpływ to przede wszystkim demoralizujący, — DK w Łęczycy szczyty się jawnie, że powstał z funduszy społecznych, inne DK też nie wyrosły jak grzyby z deszczu — jakie więc wnioski dają się wyciągnąć z tak jawnego, formalnie usankcjonowanego marnotrawienia niebagatelnych funduszy?

rami, piątą, niedawno otwartą z kolei, knajpą, i... jedną świetlicą, działającą według powyższego schematu. W Ozorkowie na filmy chodzi się do... księża proboszcza, bo w tym śledziennym miasteczku (przemysłowym, 50 proc. produkcji na eksport) zabrakło funduszy na otwarcie jednego choćby kina.

Lecz zapisane — czterysta pięćdziesiąt świetlic na sześćdziesiąt jeden miasteczek — czy to mało?

SKICE WĘGLEM

Łódzka wieś posiada 1500 bibliotek i punktów bibliotecznych, 93 kina stałe i objazdowe, 446 świetlic, 9 domów kultury, 69 zespołów instrumentalnych, 28 tanecznych, 31 chórów, 74 recytatorskie, 26 estradowe, 35 innych. 300 telewizorów w świetlicach, szkołach, kołach ZMW. Proporcje tych placówek rozkładają się mniej więcej tak: dla uprzywilejowanego pod względem wyposażenia w ośrodki kulturalne powiatu radomskiego: na 596 wsi — tylko 17 świetlic, 3 domy kultury, 20 bibliotek. (1).

A w odległości 17 kilometrów od Łodzi żyją ludzie, dla których nazwa „teatr” jest niezrozumiałym dźwiękiem zaś kino — wynalazkiem szatana. Choroby bydy przypisują działaniu uroków rzucanych przez czarownice i siły nieczyste. Radio i telewizję znają ze słyszenia, gdyż sami korzystają z lampy naftowej. Dwadzieścia czterechset morgów uprawnej ziemi leży tutaj odległym i za czaj już porastać las — samosiejka.

A jednak wieś nie należy do biednych. Sasiadami walących się ruder są nowo wybudowane domy pracowników GS i GRN. Lecz jednocześnie remiza strażacka, w której od czasu do czasu stacjonuje kino objazdowe, lub odbywają się zabawy taneczne, urozmaicone alkoholem i bójkami, stanowi jedyną placówkę kulturalną. Owszem, miał powstać Dom Kultury. Usiłując to działać na przekór wielu mieszkańcom koło ZMW przez dwa lata ciułało grosz do grosza, aż wreszcie, własnym trudem i staraniem, po wielu zabiegach, otrzymało cegłę. Ale władzom gromadzkim pomysł się nie podo-

szek? Wszystkie zależy: po pierwsze — od społecznego zaangażowania samego środowiska, a po drugie — od stosunku miejscowych władz i organizacji do tego środowiska. Te dwa warunki muszą ze sobą ściśle korelować, bo same środowisko nie nie zdziłać przeciwko indolencji władz (jak w Białej), i odwrotnie.

KULTURA DLA STATYSTYK

Statystyczny obywatel nie istnieje. Natomiast w miasteczkach i wsiach, na tzw. „prowincji” żyją ludzie z krwi i kości, o czym częstokroć zapominają odpowiedzialne instancje. Szczególnie pracownicy wydziałów kultury. Dla nich to właśnie obywatel jest „statystyczny”, a kultura „masowa”, i ważne są tylko przeleżenia „konsumpcji kultury na głowę obywatela”. Kompleks prowincji, zamiast się zmniejszać, pogłębia się narastając w niebezpieczny społecznie (i szkodliwy) konflikt. Z sytuacji korzysta duchowieństwo; w wielu miejscowościach przy plebaniiach prosperują kluby i świetlice, a przy okazji dawania zgłodziłymi kulturę, uprawia się swoista propaganda.

Tymczasem setki tysięcy złotych marnuje się na oczach środowisk. Po powiatach niszczą porożyczone i nieukończone budowy wielu ludowych domów kultury. Różne regionalne święta pochłaniają mnóstwo pieniędzy, gdy w tych samych regionach brakuje elementarnych urządzeń kulturalnych. Poziom kultury nie może wyjść z etapu świetlic. Jak poziom, jakich świetlic — fakty podał.

Niestety, nie istnieje paragraf prawny, z którego można by pociągać do prawnej odpowiedzialności bezmyślnych marnotrawców społecznego mienia, ludzkiej pracy, wysiłków, ofiarności. Kultura, ta dziwna efemeryda, i jakimiz kryteriami ją mierzyć? Jak porubrykować? Jak się z niej i nią wykazać?

„GONIMY ZA EFEKTAMI”

To prawda, którą należy jak najszybciej podważyć.

Każda instytucja dysponuje własnym budżetem na kulturę, użytkując go we dług własnego uznania, pomysłowości i wyłączenie na własnym terenie. „Mam, niech się lepiej zmarnuje, ale nikomu nie dam”, — żelazna zasada. W Szczercowie za nadwyżkę z budżetu wykupiono... karty wędkarskie. W zakładach pracy rozpowszechniła się forma upłyniania takich nadwyżek przez obdarowywanie pracowników biletami do kina, czy na inną imprezę. I w sprawozdaniach notuje się dumnie: tyle, a tyle osób spędziło kulturalnie czas.

Kultura jest to monstrum na którym można zbijać dobre interesy. W Sulejowskich Zakładach Wapiennych stało sobie bezużyteczne 20 kajaków. Od młodzieży zetemesowskiej, która zamierzała urządzić spływ kajakowy, zażądano dwóch tysięcy złotych na wypożyczenie. No, cóż, przykład drobny, ale klasyczny. Na własnym podwórku każdy może dowoli ich przytoczyć.

Kulturę robi się dla statystyk. To, co wchodzi do statystyki jest chętnie finansowane. Ostatnio panuje moda na zespoły. Tworzy się je wszędzie, gdzie potrzeba i gdzie nie potrzeba. Wo zespół to jest właśnie coś konkretnego, czym można się wykazać i pokazać. Więc powstają — na poziomie niekiedy żenującym — kalekie pody fałszywych i szkodliwych ambicji. Oczywiście, są zespoły, którymi rzeczywiście można się poszczycić. Śmiem jednak powątpiewać w ich wielki i kontakt z rodzimym środowiskiem, którego barwy noszą na strojach. W sławne zespoły bowiem chucha się i dmucha, trzymając je pod izolacyjnym kloszem, pokazując od parady, galowej okazji. A zespoły takie pochłaniają nieproporcjonalnie wysokie wkłady z całości budżetu danego zakładu czy powiatu.

W polityce kulturalnej — jeżeli w ogóle można ją nazwać polityką, modą (i to zaspokajane powierzchownie) wyznaczają zasadnicze tendencje. Modą na jazz — więc zaroilo się w terenie od występów pseudo-jazzowych. Karin Stanek załatwia kulturę. Mnóstwo się też bez liku młodzieżowe zespoły jazzowe. Bez żadnej wiedzy o przedmiocie, byle gitara (elektryczna) do ręki i już ćwiczymy twista jako przełob kulturalny.

I takim sposobem nad prowincją sprawuje władzę kultura masowa; tandetna, zwulgaryzowana, bezwartościowa. A gdzie jest miejsce na kulturę socjalistyczną, która ma zrównać prawa powiatów do kulturalnego rozwoju z prawami ośrodków wielkomiejskich?

CIEPLE SŁOWA UZNANIA

„Mam je pod adresem organizacji młodzieżowych: ZMS i ZMW. Wręcz niesłychane — ile potrafiły już zdziałać, ile jeszcze będą działać, a ile mogłyby zdziałać, gdyby nie instytucjonalizm, bezduśność, aspołeczność wielu placówek kulturalnych.

Nie sposób tu wymienić ani scharakteryzować wszystkich inicjatyw prowadzonych przez ZMS i ZMW. Ich pracy należy się osobna, szczegółowa analiza. Zasygnalizuję więc tylko, że w aktywizacji 41 miasteczek poważny ciężar przyjął na siebie ZMS, a na wsi analogiczną akcję przeprowadza ZMW pod hasłem „ruggedowania ugorów kulturalnych”.

WNIOSKI NIE UCZESANE

Aktywizacja życia prowincjonalnego jest nie do pomysłienia przy zachowaniu obecnego systemu „działalności” i modelu kultury „masowej”. Musi on nareszcie zniknąć, wyparty przez model kultury socjalistycznej, równający prawa do rozwoju prowincji z centrami miejskimi. Tak rozumiem pojęcie kultury socjalistycznej.

Dlatego — powinna nastąpić surowa rewizja dotych-

czasowych metod i norm pracy kulturalno-oświatowej. Rewizja, która obejmie wszystkie bez wyjątku instytucje, dysponujące budżetami na cele kulturalne, powiatowe wydziały kultury, oraz istniejące już placówki kulturalno-oświatowe.

Dlatego — warto by może zastanowić się nad skoordynowaniem rozproszonych i rozdrobnionych na poszczególne instytucje budżetów w jeden, centralny na przykład dla każdego powiatu?

Dlatego — trzeba przyjąć zasadę, że nawet najpotężniejsze finanse bez społecznego zaangażowania środowiska nie zmieniają tradycyjnych układów pasywności, jak również nie zmieniają instytucjonalizmu i biurokracycznej polityki placówek kulturalnych.

Jeżeli te trzy warunki zostaną spełnione, to korzystając z posiadanej przez województwo bazy materialnej, można liczyć na realne powodzenie aktywizacji życia prowincjonalnego.

EWA OSTROWSKA



Na Międzynarodowym Konkursie Fotografii Prasowej w Budapeszcie duży sukces odniósł Polacy, zajmując trzecie miejsce. W konkursie brało udział około 2.500 fotoreporterów z całego świata. W pierwszej dziesiątce wyróżnionych znalazł się fotoreporter łódzkiego „Ekspresu” Eugeniusz Kudaj współpracujący także z „Ogłosiami”.

Dwa lata młotował pewien kioskarsz w sprawie zamiany „warsztatu pracy” czyli odrapaniej budki na obszerniejszy, nowoczesniejszy kiosk. Bez skutku. Aż raz przejechał filmowcy, którym taki właśnie „antyk” był do filmu potrzebny. Już na drugi dzień stał kiosk i nie zasnął. Został wymieniony na nowy. Film to jednak potęga.



W Łodzi gościł ostatnio serbski Teatr Narodowy z Nowego Sadu. Duże zaintrygowanie wśród publiczności wzbudziła sztuka Domowicza pt. „Niesamowity kraj”.

Kwartet łódzkich muzyków (Z. Hodor, F. Bartosik, Z. Friemann i J. Kuśbiak) odniósł ostatnio duży sukces w Katowicach oraz na koncertach w Łańcucie w czasie Dni Muzyki Kameralnej. Obecnie artyści przygotowują się do IV Międzynarodowego Konkursu Muzyki Kameralnej, który odbędzie się w Budapeszcie.

Jeden z łódzkich sportowców emigruje na stałe do Australii. Nie jest to znowu zbyt wielka strata dla Polski Ludowej. Jeśli komuś tamten klimat odpowiada — krzyż na drogę. Dlatego dziwi nas trochę ofiarne uroczyste pożegnania i akcje emigranckie zgotowane.

28 nauczycieli z terenu Łodzi i województwa odznaczonych zostało Krzyżem m. Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Niedawno w jednej z łódzkich gazet znalazł się reklamę pewnych kursów zawodowych „Ocznych i Złocznych” — jak informują organizatorzy. Za podobną zbrodnię językową warto by zesłać autora reklamy na dożywotnie studia w szkole podstawowej. Oczywiście „ocznej”.



Pisałiśmy kiedyś o barbarzyńskich praktykach tzw. rakaarzy. Sytuacja wygląda obecnie już lepiej. Ale... jak informuje czytelników „Głosu” jeden z myśliwych „obowiązkem każdego myśliwego jest strzelanie do osób i kotów na obszarach łowieckich”. „Głos” w komentarzu spokojnie stwierdza: „Prawo surowe, ale honorować trzeba”. A może by tak inaczej? „Prawo jest barbarzyńskie i trzeba je zmienić”.

J. W.

FILM JAKO PODRĘCZNIK SAVOIR-VIVRE'U

ROZPOCZYNAMY DRUK INTERESUJĄCYCH ARTYKULÓW ZWIĄZANYCH Z NOWYMI SPRAWAMI SZTUKI FILMOWEJ. BĘDĄ TO SPRAWY ZAUWAŻONE I SKOMENTOWANE PRZEZ ZESPÓŁ NAUKOWCÓW ZAKŁADU WIEDZY-O FILMIE UNIwersYTETU ŁÓDZKIEGO. ARTYKUŁY O NOWYCH SPRAWACH SZTUKI FILMOWEJ ZAMIESZCZAC BĘDZIEMY CO DWA TYGODNIE.

REDAKCJA

Film jest sztuką (— nawet przez duże S —) i to jest powszechnie wiadome i przez wszystkich uznawane. Często aż za bardzo uznawane „Dlaczego” zanadto? Właśnie o tym chciałoby się powiedzieć.

O filmie mówi się powściągliwie i pisze jak o literaturze i teatrze, jak o malarstwie i muzyce. Oznacza to już absolutną nobilitację kina i podniesienie go do najwyższych rang artystycznych. I to jest właśnie niezupełnie słuszne. Bo film nie jest taką samą sztuką, jak inne sztuki tzw. tradycyjne. Nie jest od nich ani gorszy ani lepszy. Jest po prostu — inny.

Problem zaczyna się od tego, że film w swojej istocie jest przekazywaniem informacji jak telewizja, radio, prasa i fotografia. Działanie jego wynika z określonych możliwości technicznych, które rowną jest zasadą reprodukcji i masowego powielania. Jest środkiem masowej komunikacji w każdej ze swych form rodzajowych: naukowej, publicystycznej, dokumentarnej oraz artystycznej. A te artystyczne formy kina: film fabularny i poetycki, podlegają również swojemu prawu — zarówno w strukturze jak i w oddziaływaniu.

Środki masowej komunikacji, niosące milionowym rzeszom odbiorców informację o świecie i rozrywkę, działają na zasadzie „stałego potoku” i „mechanicznego wyboru”. Stały potok — to stale ukazujące się gazety, stałe czynne radio i telewizja, stałe czynne kinoteatry. W układzie tym nie chodzi o poszczególne dzieła, chodzi natomiast o serie wytworów — o stałą potokową masową głód wzruszeń i masowego głodu nowości. Korzystanie z prasy, radia, telewizji i kina — tak! kina — to coś zupełnie innego, niż odświętne odwiedzanie muzeów, wystaw, niż bywanie w teatrze i na koncer-

tach. Korzystający ze środków masowych kieruje się wspomnianym „mechanicznym wyborem”. „Mechanicznym”, bo bez myśli o spodziewanych przeżyciach estetycznych czy intelektualnych kupuje się codziennie gazetę, odkręca się galkę aparatu radiowego i telewizyjnego. Częściej również chodzi się „do kina” (jak do kawiarni czy na spacer) niż „na film”. Jest to praktyka masowa. Świadczy o tym cyfra (wg danych statystycznych UNESCO za lata 1960-61): na całym świecie 7.660 dzienników i tygodników w nakładzie 288 milionów egzemplarzy, 360 milionów radiodzienników, ponad 100 milionów telewizorów — wreszcie 167 tysięcy kin z 15 miliardami widzów (w skali rocznej). Wymowa tych cyfr jest dostatecznie jasna. Masowość seryjności i swego rodzaju plebejskość — oto klimat środków masowej komunikacji, do których należy i film.

Nie bez powodu napisało się: „w zasadzie”, ponieważ praktyka rozwoju filmu w ostatnich latach zdaje się wskazywać, że sztuka kina, nie wylamując się z rodzimego klimatu środków masowych, emanepuje się w kierunku swojej samodzielności estetycznej. Ale to już jest inne zagadnienie, nowych spraw sztuki filmowej.

Kultura XX wieku, nazywana jednoznacznie kulturą masową, przyniosła również zmianę pojęcia sztuki zwanych tradycyjnymi: muzyki, literatury, plastyki, teatru. Interesującą na ten temat Edgard Wind, profesor historii sztuki z Oxfordu w cyklu odczytów radiowych pt. „Sztuka i anarchia” (BBC, 1961 — ogłoszonych później w czasopiśmie „Listener”). Podstawowa cecha każdej sztuki, według niego, jest jej anarchiczność. „Jeśli największym życzeniem człowieka jest spokój, nie żyć, niech lepiej usunie sztukę ze swego domu”. Jest

to sprawa wyobraźni wyzwolonej przez sztukę. Już Platon sygnalizował lęk przed siłami, które ponad wolą człowieka wyzwała jego wyobraźnię. Zrodzona z wyobraźni fikcja zapuszcza korzenie w rzeczywistości i anarchizuje ją. Sztuka nie rezygnowała nigdy z tendencji wychowawczej i zaostrzała nasze postrzeganie. Była w tym swoista a uparta chęć wyzwolenia człowieka z więzów codzienności. Troska o zdobywanie coraz nowych odkrywczych punktów widzenia świata, tym samym coraz nowych środków wyrazowych, musiała w procesie rozwojowym doprowadzić do zerwania więzów z rzeczywistością. Rozwój sztuki, idący w kierunku przerosłów formalnych, musiał doprowadzić do nonsensu tzw. sztuki eksperymentalnej i do pustki hasła „sztuka dla sztuki”. Wind dostarcza zdrowe tendencje i chęć zerwania z formalizmem. Sceptycznie jednak patrzy na możliwość zrealizowania tych tendencji. Pozytywnie natomiast się bawieć zasadniczo, zmalało jej znaczenie i wpływ na ukształtowanie kultury. Sztuka żyje dziś nie przez swe tradycyjne formy podawcze, ale przeważnie przez powielające metody środków masowej komunikacji, prasa, litografia, mechaniczne nagranie fonograficzne, głośnik radiowy, ekran telewizora i kino. Artysty tworzą dziś przeważnie dla środków masowego powielania — i tym samym włączają się w specyficzny klimat kultury masowej. „Sztuka została usunięta z centrum naszego życia” — taka jest konkluzja wywodów Edgara Winda.

Specyficzny klimat kultury środków masowych omawia i precyzuje inne ciekawe studium, publikowane w r. 1961 w zachodniemieckim periodyku „Merkur”. Autor jego, Guenther Anders pisze o środkach masowego przekazu informacyjnego i rozrywkowego. Interesuje go przede wszystkim ich aspekt ikoniczny: ilustracje, fotografie, telewizja, kino. Według jego wywodów, człowiek od pierwszych chwil życia otoczony jest przez gęstą obrazów: obrazki dla dzieci, ilustracje w podręcznikach szkolnych, albumy, pisma ilustrowane, prospekty, informatory, wiadomości telewizyjne, filmy. Pozostaje więc świat nie bez pośrednio ale przez obrazki. Nie więc dziwnego, że kontakt człowieka z przyrodą i światem zjawisk społecznych dokonuje się za pomocą porównywaną rzeczywistości z obrazkami. Podstawą poznania pozostaje obrazek, a nie sama rzeczywistość. Konsekwencje tej wszędy doświadczył kultury obrazków, od których nie ma ucieczki, ujmuje Anders w 9 punktach. Oto one:

- 1) jesteśmy przez zalew obrazków odcięci od świata zewnętrznego,
- 2) nie sposób odróżnić prawdy od iluzji,
- 3) rzeczywistość jest dla nas tylko odbiciem odbicia
- 4) skazani na bierność oglądania lub przysłuchania się, nie mamy nic do powiedzenia,
- 5) obrazki informują nas o wszystkim, ale ten nadmiar informacji powoduje całkowitą dezinformację,
- 6) rozrywka, polegająca na oglądaniu biernym, pozbawia wolności,
- 7) nie odczuwamy smaku ani wartości odbieranych treści obrazowych, jest ich bowiem bardzo dużo, jesteśmy w stanie odczuć tylko ich brak,
- 8) informacje i rozrywki obrazowe, dzięki swemu przeznaczeniu „dla wszystkich”, są wyjątkowo i niżej,
- 9) natrętny ogrom informacji obrazowej oddziałuje przed nami wszystkie tajemnice świata, przyrody i stosunków międzyludzkich — zniknęło jakiegokolwiek tabu, ale wraz z nim jakiegokolwiek napięcia dramatycznego — jako swoista cecha sztuki środków masowych pozostał jedynie „zakaz zakazów”.

Sposprzeżenia i konkluzje

Winda i Andersa nie są właściwie niczym nowym. Sygnalizowali już ten stan rzeczy Ortega y Gasset, o kulturze masowej jako „wielu-żądzącej” i „wielu-żądzącej” (Illinois 1958) Dwight Macdonald. Katastroficznym pojmowaniem kultury XX wieku nie jest żadną prawdą absolutną. Inny punkt widzenia, kontrowersyjny i prawie optymistyczny, odczytamy w „Przy- czynku do teorii rewolucji kulturalnej” Stefana Żółkiewskiego (Przegląd Kulturalny 1962, nr 36 i 37). „Na- sza kultura masowa jest u- polityczniona. Pojęcie rozrywki, przyjemnego zainteresowania nie wyklucza u nas polityki. I to uważam za istotną broń przeciw homogenizacji. Kultura homogenizowana ukazuje świat fantomiczny, nie na serio. Polityka jest sprawą serio”.



Brigitte Bardot i Stephen Boyd w filmie „Księżycowi jubilerzy”

Socjologiczne i filozoficzne tłumaczenie zjawiska kultury masowej nie zwalnia od zwrócenia uwagi na sprawdzalne, obiektywne prawa tych form podawczych, którymi posługują się środki masowego przekazu. One to bowiem wntwiają w dużej mierze na specyficzną atmosferę, którą powoduje niezależnie od przesłanek filozoficznych — korzystanie ze środków masowych. Platon przestrzegał przed następstwami rozbudzonej wyobraźni. To były dawne — jakże dawne! — obawy. Środki masowe: film i telewizja atakują nie tylko duszę człowieka, ale bezpośrednio jego ciało, jego organizm.

Ścisłe powiązania z fizjologią człowieka stoją, jak wiadomo, u podstaw kinematografu jako zjawiska. Kinematograf w swej konstrukcji — jak to już zauważył Bergson — powtarza działanie ludzkiego systemu postrzegania, umożliwiając, dzięki powidokom (zjawisko stroboskopizmu), dostrzeganie ruchu. Przewa-

ga elementu obrazowego w tworzywie dzieła filmowego odpowiada również naturze człowieka, który ponad trzy czwarte wrażeń pobiera drogą postrzeżeń wzrokowych. Dodajmy, że oko obiektywu i ucho mikrofonu widzi i słyszy lepiej i — inaczej niż oko i ucho człowieka. Właściwości techniczne kinematografu, pomnożone o możliwości metody montażu dają w efekcie wizję rzeczywistości, opierają się ściśle na mechanizmie ludzkiego postrzegania i rozszerzają jego granice. Na tych ścisłych powiązaniach z fizjologią postrzegania i całym bogactwem działań psychicznych z zakresu kojarzenia i wnioskowania opiera się poetyka sztuki filmowej. Ze wszystkich sztuk film jest sztuką możliwie najbardziej „ludzką”. W swym oddziaływaniu przylega ściśle do ludzkiego organizmu psychofizjo-

Badacze doznań kinowych (psycholog Deprun i in.) dawno już byli na tropie tzw. narkotycznej wzg. hypnotycznej teorii filmu, dopiero teraz jednak badania naukowe pozwoliły bliżej określić ten stan rzeczy. Przez różne sygnały informacyjne, z jakich składa się każdy wytwór filmowy, przeważnie wizualne, przenikają do świadomości człowieka, zmieszane i oszołomione oglądaniem filmu, w sposób nie zawsze dla niego dostrzegalny. Dostają się do niej wbrew woli i zamiarowi człowieka. W pewnym (a może dosłownym) sensie zapadają w podświadomość, z której wywołują się później w momentach nieoczekiwanych. Eksperyment, przeprowadzony w r. 1956 przez brytyjską telewizję, a powtórzony w celach reklamowych (ku oburzeniu społeczeństwa amerykańskiego) w New Jersey przez Subliminal Projection Company, przekonał, że można człowiekowi w sposób przez niego nie kontrolowany przekazać drogą obrazową pewne wiadomości, które potem, wydobyte spod progu świadomości, przybiorą charakter pewnych nakazów postępowania. Tworzy się zamknięty a tajemniczy krąg oddziaływania. Widz kinowy znajduje w filmie komponenty swych pustek życiowych, względnie rzutuje na ekran, w akcie utworu filmowego własne dręczące niezadowolone sprawy. Przeciśnie widowska kinowego staje się często przeżyciem osobistym. Poetyka filmu „przylega” do mechanizmu postrzegania i odczuć widza, ale warunki fizyczne oglądania filmu męczą i oszołamiają. I tu zaczyna się „tajemniczy” odcinek (tego kręgu oddziaływań). Niezależnie od głównego nurtu treści i dramaturgii do psychiki odbiorcy przenikają głęboko a niezauważenie jakiegoś informacji, jakieś obrazy. Jakże? Tego właśnie widz nie wie. Może jakiś gest, może sposób noszenia sukni, może uśmiech, może czyjś błysk oka... Ta informacja obrazowa, ten nieświadomiony wzór postępowania wywołuje się może spod progu świadomości w postaci jakichś gestów nasładowych, jakichś norm postępowania. Wyzwolenie to przyjdzie równie — nieświadomie, jak inkubowało w podświadomości.

Jest więc film — ze swej własnej, specyficznej natury rzeczy — stałym podręcznikiem savoir-vivre'u. Umiejętności życia na co dzień Czynny jest procent widzów kinowych, którzy działaniu temu nie podlegają? Żeby to kto wiedział. Niezależnie wszakże mają rację ci, którzy w kinie widzą sugestywnego wychowawcę i nauczyciela — nie tylko spraw ważnych i światopoglądowych, ale także — może nawet! — przed wszystkim! — spraw codziennych i pozornie nieważnych. Z tych właśnie „nieważnych” spraw składa się ludzki styl życia. Właśnie — savoir-vivre.

W powieści Stanisława Dygata „Disneyland” (odcinek 18 w Przeglądzie Kulturalnym z 11. X. br.) bohater (a jego ustami chyba i autor) mówi tak: „Muszę stwierdzić na podstawie własnych obserwacji, że ostatnio wszystko, co się dzieje między ludźmi w życiu, bardziej przypomina film niż życie. Wcale nie dlatego, żeby było takie ciekawe. Dlatego, że jest takie wyniszczone, wyreżyserowane, czy ja zresztą wiem dlaczego? Może nie mam racji. Bo przecież film istnieje dopiero najwyższe sto lat, a ludzie zgrywają się już od dobrych paru tysięcy lat. No tak, ale teatr był zawsze. Co prawda, dostępny tylko dla nielicznych. Dla górnych warstw. Toteż myślę, dawniej zgrywali się tylko warstwy górne, a teraz — dzięki filmowi — zgrywanie zostało upowszechnione”.

P. S. Warto ponadto przeczytać: K. Żygulski: „Film w środowisku robotniczym” Warszawa 1962.

S. Grzelecki: „Archipelag spraw osobistych” Warszawa 1962.

E. Morin: „Le cinema ou l'homme imaginaire” Paris 1956.

odtłuszczone

str. 3

MARIA KORNAŁOWSKA

WODA WYŻEJ!

Oto na naszych ekranach nowa „dzielenie” ze „Złotej serii” polskiej kinematografii — film J. Laskowskiego „Mężczyźni na wyspie”. Tytuł, nie powiem, atrakcyjny. Była już „Wyspa skarbów”, „Dziwcyzna z wyspy”, mogą więc być i „Mężczyźni na wyspie”. Zresztą tytuł znakomicie streszcza cały film. Bo jest wyspa i są mężczyźni, no i potem zjawia się jeszcze dziewczyna wprawdzie nie z wyspy, ale z wody. I chyba nie poza tym. Aha, jest jeszcze woda, która ciągle wzbiera. Im dalej w film tym woda wyższa. A skarbów nie ma — przysięgam!

Na ogół robi się albo filmy akcji czyli zdarzeń zewnętrznych albo też filmy przeżyć czyli zdarzeń wewnętrznych. Do jakiej kategorii wypadłoby zaliczyć film Laskowskiego? Odpowiedź wcale nie jest łatwa. Bo ani prawdziwej akcji, ani jakiegokolwiek śladu głębszej analizy bohaterów nie uświadczyz w „Mężczyźniach na wyspie”. Być może, iż autorom chodziło o tak zwany dramat postaw, tylko jakich, to już nie wiadomo, i obawiam się, że i sami twórcy tego nie wiedzą. Ale rzecz sama w sobie modna i na czasie.

Być może chodziło tu o obraz naszej epoki, społeczeństwa, człowieka, a ta nieszczerza woda miała symbolizować zagładę atomową (równie modne jak ryk odrzutów).

A może miał to być głęboki dramat psychologiczny, z optymistycznym wydźwiękiem?

„Wszystko to prawda — być może — jednakże ja to między bajki wiozę” — jak mawiał pewien stary, logiczny i rzeczowy poeta. Bo w rezultacie film jest jednym wielkim niezrozumiałym, a co gorsza pretensjonalnym bełkotem. Wiele można wybaczyć debiutantowi, ale nie wolno wybaczać pseudogłębi, pseudokonfliktów, pseudointelektu, słowem pseudofilmu. Bo to nie jest, jak się zapewne panu Laskowskiemu zdawało, antyfilm, ale właśnie pseudofil.

Ostatecznie musimy bronić sztuki od tych, którzy pasywnie na nowocześnieść. Niekoniecznie to co nie ma sensu i jest niezrozumiałe, zaraz musi być głębokie i odkrywcze. Nie damy się nabierać ani na mężczyzn, ani na wyspę, ani na wodę, ani na dialogi w których skrzykiwano Czeskie z Hemingwayem i to w najgorszym gatunku. Ani na kawiarnianą filozofię.

Jedni się nie na nie do powiedzenia, lepiej nie mówić. Lepiej być świętym operatorem niż klepsidm reżyserem. Nasza kinematografia przypomina wyspę. Wyspę, która zalewa fala manieryzmu, smiesznej pretensjonalności, snobistycznego i beznadziejnego malowania cudzych wzorów. Niestety woda wyższe!

Paryski tygodnik „Arts” przeprowadził niedawno interesującą ankietę na temat miłości wśród dzisiejszej młodzieży i znaczenia erotyzmu w życiu współczesnego człowieka. Dążąc do wydobycia maksimum efektów z ankiety (samej w sobie przecież dostatecznie atrakcyjnej!) sprawozdawca zawezwał zagadnienie do pytania: Czy urok nowoczesnego erotyzmu jest dowodem czy przyczyną zanikania uczuć prawdziwej miłości?

Człowiek w państwach kapitalistycznych żyje pod ustawicznym naciskiem reklamy i propagandy, która w 99 procentach — dla uatrakcyjnienia publikacji i ogłoszeń — łączy się z wyobrażeniami erotycznymi. Nie tylko okładki magazynów ilustrowanych (nie mówiąc o tygodnikach jawnie pornograficznych), ale opakowania pudełek do kawy, herbaty, mydeł itp. afisze w metrze, tramwajach, autobusach i na murach domów pełne są nagich lub rozebranych kuszących kobiet, białych i Murzynek, prezentujących kształtne nogi, błyszczące zmysłowe oczy i uwodnicze usta, zęby, piersi. Erotyzm w reklamach na ulicy kwitnie na każdym kroku. Wszystko, co może sugerować płeć, nadaje się jako środek reklamowy. Stąd, między innymi „problem” na Zachodzie, czy nadmiar erotyzmu w ogłoszeniach, reklamach i wszelkiego rodzaju publikacjach nie powoduje znużenia i oschłości uczuć, ograniczających się do seksu. Stąd też pytanie, czy urok nowoczesnego erotyzmu jest dowodem czy przyczyną zanikania uczuć prawdziwej miłości?

Ale, przede wszystkim, co rozumiemy przez pojęcie erotyzmu? Nowoczesny słownik języka polskiego nazywa erotyzmem miłość o silnym podłożu zmysłowym, seksualnym. Natomiast słynny Larousse popelniał gafę określając erotyzm jako „amourex malade” (miłość, choroba), co mu też wytknięto zarzucając, że pomieszał erotyzm z pornografią.

W odpowiedziach mieszkańców „stolicy świata” zarysowały się krańcowe, diametralnie odmienne stanowiska.

Profesor Sorbony traktuje erotyzm jak wszelkie inne „ogłupiające” dzisiejszego człowieka rozrywki i stwierdza, że erotyzm nie jest, ani przyczyną, ani skutkiem oschłości uczuć, lecz — samą oschłością. Profesor widzi w erotyzmie same przywary, brak radości życia, brak szczerości i spontaniczności uczuć, a nawet kłóży go z intelektualizmem (o, horror!), który uważa za drugą plagę współczesnego ponuractwa. Jako lekarstwo na oschłość serca zaleca czytanie Czechowa i słuchanie muzyki Ravela, Musorgskiego i Albeniza Hm!...

Podobnego zdania jest znany psychiatra Gilbert Robin, który uważa erotyzm za grę, zaś miłość za rzecz poważną i głęboką, która może obejść się bez erotyzmu. Odnosi się wrażenie, że obaj starsi panowie mieli na myśli jakiś wynaturzony erotyzm, który za czasów ich młodości uchodził za rzecz zdrową.

Krańcowo odmienny pogląd formułują dwaj literaci francuscy i artysta rysownik. Są oni zdania, że erotyzm wzbogaca uczucia miłości, gdyż wymaga, od partnerów udziału ich serca i umysłu. Erotyzm, powiadają, jest najprzyjemniejszym sposobem zagubienia się we dwoje. Chociaż są również tacy, którzy odnajdują się w erotyzmie. We dług tych trzech artystów erotyzm nie jest zaprzeczeniem miłości, lecz dowodem jej istnienia.

Autor ankiety przytacza również opinie klasyków. A więc Pascal twierdził, że człowiek jest stworzony po to, żeby doznawał przyjemności, na co nie potrzeba żadnego dowodu, gdyż samo odczuwanie przyjemności przez człowieka jest wystar-

czającym dowodem. Voltaire wyrażał obawę, że „ciągła przyjemność przestaje być przyjemnością”. Monteskiusz zaś ostrzegał, że „na dłuższą metę wszystko nas nuży, nawet wielkie przyjemności”. Natomiast Spinoza uważał, że „przez rozkosz zmysłową dusza ludzka zostaje wznieśiona jak gdyby osiągnęła prawdziwe dobro, a to nie pozwala jej myśleć o niczym innym”.

Wreszcie, tygodnik podaje opinie młodzieży. Dwudziestoczteroletni student na wydziale języków orientalnych twierdzi, że kobieta coraz bardziej staje się w miłości przedmiotem, są-

jącą, która obniża wartość ankiety i świadczy, że stosunek redakcji do omawianego zagadnienia był niepoważny. Młodzi ludzie ponownie trzydziestu lat odpowiadają na pytanie, co ich najbardziej pociąga w kobiecie. A więc, jednych:

Sylwetka, wygląd ogólny — 37 odpowiedzi.

Innych: Nogi — 29 odpowiedzi, oczy, spojrzenie — 18, twarz — 14, piersi — 8, usta — 7, włosy — 5, kolana, plecy — 5, ręce, ramiona — 4, sposób chodzenia — 2 odpowiedzi.

Druga tabela „statystyczna” wykazuje, że na sto fo-

tele ankiety były mało ambitne i obliczone na efekt bulwarowy, co może wzbudzać zdziwienie, że tak interesujące i dobrze redagowane pismo, jak „Arts” nie stara się wyciągnąć głębszych wniosków z zebranego materiału.

A wnioski nasuwają się same przez się. Przede wszystkim jest rzeczą niewątpliwą, że wyraz uczuć miłosnych ludzi współczesnych odbiega od modelu nie tylko romantycznego, ale nawet od modelu, powiedzmy, sprzed pierwszej i drugiej wojny światowej. Nikt już dzisiaj nie „cierpi” pod rozdartą soseną na sposób Judy i Joasi. W drugiej połowie XX wieku nie ma również czasu na przedłużające się załoty, ani na przemysłową strategię miłosną. Czasy, w których Stendhal (sto pięćdziesiąt lat temu) pisał swój katechizm uwodzenia, będący czymś w rodzaju filozofii i taktyki w miłości, a właściwie, metody zdobywania kobiety, minęły bezpowrotnie.

Młodzież dzisiejsza traktuje miłość, powiedzmy, rzeczowo i raczej ukrywa swe gorące uczucia w stosunku do wybranej partnerki czy partnera, wyrażając niechęć nie tylko do ekshibicjonizmu, ale i do jakiegosż żywszego wyrazu swych przeżyć. Wprawdzie w jednym z tygodników literackich za pewniako niedawno w wypowiedzi poświęconej twórczości Faulknera, że „młode dziewczęta czytając „Dziękuję ci” nie rozstają się z tą książką, że podkreślają poszczególne zdania i na marginesach wypisują refleksje o miłości”, ale ja to kładę między mity. A za pewnością już nie jest to wypadek typowy, lecz odzwierciedlenie jakichś bardzo egzaltowanych dziewcząt.

Dawniej „dziewiętnastolecie” dwudziestych marzeń kobiety odnosiło się, zdaniem Stendhala, do miłości”. Dziś, gdy życie w epoce kina, telewizji, automobilizmu, non-

stopu, turystyki, sportu, twórczości itp. jest o tyle bogatsze, o ile sto pięćdziesiąt lat temu było nudniejsze, (zwłaszcza dla kobiety ówczesnej, zamkniętej w ograniczonym kręgu życia rodzinnego) uważa kobiet i mężczyzn rozprasa bogactwo wrażeń zewnętrznych i różnych doświadczeń łatwiej, atrakcyjnych możliwości, a ich ambicje przyciągają cele, które można osiągnąć nie tylko dzięki zdolnościom, lecz również często, dzięki energii, pracowitości i wytrwałości. Wszystko to nie sprzyja rozkwitowi marzycielskich refleksji miłosnych, szczególnie, jeśli zważyć, że wszyscy, zarówno dorośli, jak i młodzi, mają diabeł nie mało czasu, a wiadomo, że tych spraw nie można przeżywać na chybiłku. Minęły również lata (znowu trzeba to podkreślić), kiedy, jak pisał Stendhal w Trzeciej Przedmowie (1842 r.) do swej książki „O miłości”, „... w szczęśliwej Lombardii, Mediolanie, Wenecji wielką, jedyną sprawą była rozkosz”. Nie mamy dziś tyle czasu na rozkosze, a jeżeli nawet są tacy, którzy mają tego czasu dosyć, to przy bogactwie możliwościach, jakie daje dzisiejszemu człowiekowi życie współczesne, wolą prawdopodobnie zużyć swój wolny czas bardziej racjonalnie, ciekawie i pożytecznie.

Wróćmy jednak do spraw poruszonych, a raczej właściwie — nieporuszonych przez ankietę paryskiego tygodnika „Arts”. Poważnym błędem ankiety było to, że zignorowała kryterium środowiska w swych rozważaniach. Wprawdzie wymienia się w niej studentów, literatów, artystów i uczonych, ale w końcu reprezentują oni tylko tak zwany inteligencja. Tymczasem nastrojami erotyzmu obejmowany jest przez reklamę, kiną, magazyny ilustrowane itp. nie tylko ten kraj, lecz w ogóle tak zwany „szary człowiek” na Zachodzie.



dzając przy tym błędnie, że coś na tym zyskuje, podczas gdy, zdaniem naszego studenta, taki układ stosunków między przedstawicielami odmiennych płci jest zaprzeczeniem erotyzmu.

Inny student, z wydziału sztuk pięknych, dwudziesto-, pięcioletni Jakub ostrzega, żeby nie mieszać erotyzmu z seksualizmem, gdyż erotyzm jest sztuką kultury, a harmonię gestów i słów uczuć, a nie — brutalnym wzmocnieniem doznań. Zamyka ankietę wypowiedź pisarza Serguina, który w uroczach erotyzmu widzi wartości będące podstawą twórczości artystycznej.

Obok mniej lub bardziej zrecznych wypowiedzi redakcja zamieściła „statysty-

tosów w tygodnikach ilustrowanych (i pornograficznych) sześćdziesiąt osiem fotografii miało charakter czysto erotyczny, przy czym: Piersi kobiece odsłonięte lub sfotografowane tak, żeby się tylko można było domyślać, miały — 25 fotofosów, młoda kobieta w trykotach — 19, twarz w ekstazie miłosnej — 12, sukienia ponad kolanami — 9, kolana i brzuch — 8, kobieta sącząca palec lub owoc — 8, kobieta prawie naga, zdjęta od strony pleców — 5 fotofosów.

Redakcja, a właściwie autor ankiety zastanawia się czy tak liczne fotofosy na tematy erotyczne nie prowadzą do oschłości uczuć w miłości.

Jak widać z powyższego,



Orkiestra fabryczna (zdjęcie wykonane przed 60 laty)

ALFONS PELLOWSKI

60 LAT MUZYKOWANIA

W bieżącym roku obcho- dzi orkiestra Zakładów Przemysłu Bawelnianego im. J. Marchlewskiego w Łodzi 60-lecie swego istnienia. Wprawdzie już niedługo po majowym „buncie łódzkim” czytamy w „Dzienniku Łódzkim”, że „robotnicy fabryki Poznańskiego utworzyli własną orkiestrę”, jednak o istnieniu jej nie

znajdujemy w następnych latach żadnego potwierdzenia. I jeszcze w 1898 r. we wzmiacnie prasowej, dotyczącej zawiązania się orkiestry fabryki Heinza i Kunitzera, podkreśla się, że dotychczas jedyną orkiestrą fabryczną w Łodzi była orkiestra scheiblerowska, występująca już w 1885 r.

Inicjatorem powstania orkiestry przy Zakładach Włókienniczych I. K. Poznańskiego był ówczesny kierownik tkalni. Zaapelował on w 1902 r. do majstrów tkackich, aby zorganizować orkiestrę dętą. 25 majstrów

opodatkowało się po 27 rubli w celu zakupu instrumentów. Niebawem instrumenty nadeszły i można było rozpocząć regularne próby.

Pierwszym kapelmistrzem został Edward Dietrich. Był on — począwszy od maja 1877 r. — długoletnim kapelmistrzem stacjonarnej w Łodzi 37 jekaterynburskiej pułku piechoty. Z jego umiejętności i długoletniego doświadczenia korzystały w owym czasie prawie wszystkie łódzkie orkiestry dęte. Zrezygnował on jednak szybko z prowadzenia orkiestry,

której osłoda — jak początkowo planowano — miał być kościół św. Józefa, bo nie wypłacano mu należnego honorarium.

Miejsce Dietricha zajął Albert Grasse, który orkiestrę prowadził do 1905 r. Był on zarazem kapelmistrzem orkiestry 10 Pułku Artylerii w Zgierz i „Zgierskiej Orkiestry Miejskiej”, prowadził chóry i uczył gry na skrzypcach. Otrzymywał za prowadzenie orkiestry 10 rubli tygodniowo, które mu ze swych składek wypłacał uczniowie i członkowie orkiestry. Takie obciążenie członków orkiestry było nadmierne, toteż stało się powodem odejścia kapelmistrza Grassego.

Szef orkiestry (zwany dawniej starostą), Józef Świądkowski i nowo zaangażowany kapelmistrz Siłakowski wpadli na szczęśliwy pomysł, aby zagrać nie tylko na instrumentach, ale także na ambicjach fabrykanta Poznańskiego. Zebrał więc orkiestrę w dzień Nowego Roku 1907 i zagrał Ignacemu Poznańskiemu w jego pałacu. Efekt był taki, że I. K. Poznański, po częstowaniu orkiestrantów nie tylko szampanem, lecz ogłosił, że orkiestra jest oddziałem fabrycznym, otrzymała do ćwiczeń przy jadalni (obecnie kino „Popularne”) ogrzewaną boczną salę, bas i bęben, pulpit i nuty oraz pieniądze na opłacenie kapelmistrza. Wtedy to też zaprojektowano uniformy i umundurowano orkiestrę. Gdy po raz pierwszy w tych nowych ubraniach zagrała w „Domu Mistrzów Tkackich” (obecnie restauracja „Tivoli”), łódzianie jej nie poznał i mówili: „To Francuzi grają”. Odtąd z powodu tych francuskich uniformów powszechnie orkiestrę „Francuzami” nazywano.

Siłakowski zabrał się solidnie do pracy, ucząc oprócz orkiestrantów także trzy razy w tygodniu 12 chłopców — elewów, którzy wykształcił na dobrych instrumentalistów. Reper-

tuar orkiestry obejmował oprócz marszów dużo uwer-tur (np. do „Halki” czy „Wilhelma Tella”) oraz operetek („Orfeusz w piekle”). W repertuarze były także tzw. „myszki”. Np. jeżeli w miejscu koncertowania było dużo bogatych Niemców, wtedy wystarczało tylko zagrać „Pupchen” lub coś podobnego, aby otrzymać parę beczek piwa. W tym czasie zakupiono także w warszawskiej fabryce Gliera nowe instrumenty, a gdy nadeszły, każdy otrzymał — jak to wówczas było w zwyczaju — od firmy 1 rubla za pierwsze za-dęcie na nowym instrumencie.

W okresie międzywojennym orkiestra pod dyktando kapelmistrza Siłakowskiego, który z zespołem tym kierował do końca życia, brała czynny udział w konkursach orkiestr strażackich, zdobywając w 1923 r. nawet I nagrodę. Siłakowski prowadził w fabryce Poznańskiego nie tylko 35-osobową orkiestrę dętą, lecz założył także przyzakładową orkiestrę smyczkową. Miesiącem ćwiczeń była do czasu otwarcia przez Józefa Piłarskiego „Teatru Popularnego” sala obecnego kina „Popularne”, a następnie sala u „Moniuszkowców”.

Z orkiestrą „Marchlewskiego” jest ściśle związana muzykalna rodzina słynnej pianistki Barbary Hesse-Bukowskiej. Oto już prapradzadek Barbary, Onufry Hesse, był kontrabasistą, a jej dziadek Karol (malarz fabryczny) grał w tej orkiestrze na kornecie. Z jego pięciorga dzieci, 15-letniego Tadeusza fabryka wykształciła na tokarza, a kapelmistrz Siłakowski na pierwszego kornecistę. Grał on też nieźle na skrzypcach, tak, że zaangażowano go do orkiestry teatru Piłarskiego (czyli „Teatru Popularnego”), gdzie poznał i ożenił się ze statystką teatru Bukowską; a córką ich jest

właśnie sławna i utalentowana Barbara.

W trzy tygodnie po wkroczeniu do Łodzi wojsk hitlerowskich, gdy już część instrumentów orkiestralnych została rozgrabiona, jeden z członków orkiestry, kornecista Grosman ogłosił się jej kapelmistrzem, zwołując wszystkich orkiestrantów na regularne próby. Zgłaszali się też instrumentaliści z innych fabryk, bo bali się wywiezienia na pracę do Niemiec. Orkiestra pracowała solidnie i co czwartek koncertowała, za co każdy z członków orkiestry otrzymywał butelkę piwa i 5-centymetrowy kawałek kiełbasy. Grosman, który odebrał rozgrabione instrumenty i skompletował wcale dobrą orkiestrę, został przed zakończeniem wojny powołany do wojska niemieckiego, a instrumenty znowu zapakowano do skrzyń.

Zaraz po oswobodzeniu Łodzi poszło dziesięciu instrumentalistów tej orkiestry — bez kapelmistrza — na Plac Wolności, aby zagrać na powitanie wkraczających wojsk radzieckich. Nazwiska ich są nam w większości znane: Przybylski (niedawno zmarły fiedista Łódzkiej Filharmonii), Wojewoda (fiedista), kłarnecista Kęsłak, kornecista Stępień, puzonista Tomczak i bębniści Kowalski.

Od października 1951 r. do chwili obecnej jest kapelmistrzem orkiestry Zakładów Przemysłu Bawelnianego im. J. Marchlewskiego Onufry Andrejuk.

Większość muzyków gra w tej orkiestrze już długie lata: emerytowany brakarz Franciszek Kowalski grał w niej blisko 60 lat, energetyczny Jan Szczepański gra 38 lat, ślusarz Stanisław Stępień — 35 lat, a mistrzowie tkacki Stefan Szewczyk, Zygmunt Florczak, Benon Smolarek i robotnik Bronisław Tomczak około 30 lat.

(Dalszy ciąg ze str. 1)

bec tego cierpiąc na brak gotówki kupił od farmera... stodołę i wnętrze przebudował na dom mieszkalny. Sami własnymi rękami.

— Musisz kiedy przyjechać do nas — powiada Irlandka — na zewnątrz wygląda to jak stodoła, ale w środku całkiem przyjemne mieszkanie. I dzieci mają łaskę za domem łąkę przed domem, nie muszą się ustawicznie lekkać, czy ich co nie przejeżdża, jak w Chicago...

Frank przy kierownicy pogwizduje, Irlandczyk śpi w rogu wozu z kapeluszem nasuniętym na twarz a ja... zaczynam czuć jakiś brzydkie zapach; przykra mdła woń; coś wyraźnie zaczyna cuchnąć, ni to jak wadzew. ni to... i nagle słyszę okrzyk Bonny:

My God! Okna, zamykaj okna!

W tej samej chwili fetor, trupi fetor rozkładającego się mięsa wypełnił cały wóz. Za tyłkami nos, podnoszę przedko szybę auta, za późno zresztą. Pytam:

— Co to?

Frank odwraca się od kierownicy i mówi z zabawnym patetycznym triumfem:

— That's Chicago! To jest Chicago! Nigdzie, na całym świecie tak nie śmierdzi jak u nas!

To była rzeźnia miejska, rozsyłająca na całą dzielnicę, swoje upajające, szczególnie w czasie letniego upału, wonie. Moi gospodarze właśnie m. in. z powodu mieszkania w pobliżu rzeźni opuścili Chicago i przenieśli się do suburbia (sub urbe — pod miastem).

Kiedys potem, po miesiacach, gdy wrócił do Łodzi i stanął na zbiegu Piotrkowskiej i Główniej i poczuł rodzinny zapachek Widzewa,

„gazstation“ miała bar-bu-fet, czasem obok stał „drug-stor“, czyli coś w rodzaju drogerii, w której obok specyfików drogerijnych można kupić tysiąc innych rzeczy jak: kosmetyki, papiery, gazety, słodycze, napoje chłodzące, lody, książki przeważnie te w miękkich okładkach, pięćdziesięciocentowe; w drugstosie można napić się także kawy, zjeść sandwicza.

Z czasem stacja benzynowa obrastała w domki, a czasem towarzystwa budowlane budowały w promieniu wielu mil naokoło stacji szereg małych osiedli, umieszczając w ich środku, w pobliżu stacji benzynowej — centrum handlowe, „shopping-center“, takie ma-lutkie miasteczko handlowe z parterowymi pawilonami sklepowymi wszystkich bran-ży, w których można otrzymać te same towary co w dużym mieście, nierzadko w niższej cenie (mniejsze koszty handlowe). W ostatnich latach zaobserwowano ciekawe zjawisko, mianowicie zmniejszenie się ruchu w centrach wielkich miast, właśnie na skutek korków samochodowych i braku parkingów, a zwiększenie ruchu w centrach handlowych podmiejskich, gdzie przewidujący budowniczowie z miejsca urządziłi wygodne postoje na kilkaset aut.

Oczywiście życie w subur-biach możliwe jest tylko dla posiadaczy aut. Wprawdzie statystycznie na każdą am. rodzinę przypada jeden wóz, ale skoro są rodziny posiadające więcej wozów, muszą być i takie, które ich nie posiadają wcale i ci ludzie zawsze będą skazani na życie w wielkim mieście, na wielogodzinne jazdy autobusami, metrem; każdemu jednak z nich śni się po nocach mały własny domek po-śród wiozów.

Suburbia rzucone są czę-sto w przestrzeń pustą, po-zbawione wszelkiej innej ko-munikacji, o dziesiątki mil od najbliższej stacji kolejowej, o kilometry od tras autobusowych, na które i tak nie zawsze można liczyć, skoro przy małej ilości pasa-żerów, a więc przy nieopła-calności linii — właściciele likwidują je.

Jak wygląda taka osada i życie w niej?

Otóż w odróżnieniu od miast, gdzie 80 proc. lud-ności mieszka jeszcze w do-machach muni-cypalnych (prawo do mieszkania w bloku miejskim ma obywatel zarabia-jący poniżej minimum, a więc poniżej 4.500 dol. rocz-nie, w blokach tych mieszka się razem z kolorowymi, co uważane jest przez białych za pewien rodzaj dyskrymi-nacji) — a więc w subur-biach mieszka się przeważ-nie w jednorodzinnych włas-nych domkach, choć tu i ów-dzie widać się w pobliżu cen-trum handlowego kompleksy dwupiętrowych bloków tzw. apartamentowych. Dom jed-norodzinny, w zależności od rozmiarów, „property“ (par-celi), od użytkowania osie-dla, od typu budowy i wy-po-sażenia wewnętrznego ko-sztuje od 17.000 dolarów do kilkudziesięciu tysięcy. Ku-puje się go — jak wszystko w Ameryce — na raty. Przy-pomnieć tylko należy, że prawo otrzymania domu na raty ma obywatel, który przepracował w jednym miejscu pracy co najmniej trzy lata, co oznacza, że jest solidny, wypłacalny i że przy ew. zwolnieniu z fa-bryki, biura, przedsiębior-stwa ma przed sobą ludzi, którzy krócej od niego pra-cują. Przy kupnie domu na raty wpłaca się kilkaset do-larów, reszta idzie na mie-sieczne spłaty na lat dzie-sięć, piętnaście, dwadzieścia. Są firmy budowlane, które reklamują się, że dodają każ-demu nabywcy: futuro dla pa-ni, lub smoking dla pana, co rzecz jasna jest wkalku-lowane w cenę realności. Przy odkupowaniu starego domu — wpłaca się jedną trzecią część wartości. lub połowę, resztę na raty.

Budownictwo tych dom-ków jedno i dwurodzinnych jest przeważnie bardzo lek-kie, drewniane z prefabryka-tów, domy są oblane czes-em płytami azbestowymi, imitującymi z daleka cegły. Kamienne lub ceglane są podmurówki, czasem mrurowana jest część lub cała ściana frontowa w droż-szych domach. Oni te lek-kość budownictwa tłumaczą faktem, że w tym ciepłym klimacie zbędne jest ciężkie

budownictwo, zimną opalanie systemem radiacyjnym (na-molory, na olej) i tak nagrze-wa dostatecznie cały dom. Ta jednak lekkość budow-nictwa powoduje tam fan-tastyczne fajerwerki, domy są położone względem siebie blisko i lada wiaterek prze-nosi płomienie na całą osa-dę. Tym należy wytłumaczyć m. in. spalanie się w ub. ro-ku 400 domów akterskich w Hollywood (wood — drze-wo).

Na ogół te przeciętne do-my są raczej na zewnątrz nieefektywne, niezgrabne, sto-dolowate, o niskich ścianach. O ile w miastach domy jed-norodzinnne (całe dzielnice wielkich miast — to domki jedno i dwurodzinne) są przeważnie dwukondygn-acyjne (bawialny, jadalny, kuchnia na dole, sypialnie na górze) to w osadach, na szerszym na ogół parcel-ach buduje się domy w za-sadzie jednokondygnacyjne, ale poziomy ich są często zróżnicowane: tu dwa schod-ki w dół, tam cztery schod-

kanów, nowojorczyków np. wielkim powodzeniem cieszą się cepeliowskie kilimy, na-rzuty, makaty-gobeliny. Rze-czy te osiąga tam bardzo wysokie ceny; kilim kosztu-jący w kraju kilka tysięcy złotych tam sprzedaje się za kilkaset dolarów, gobeliny zaś są w cenie kilku tysię-cy dolarów i znajdują na-bywców. Uprzejmy kierow-nik nowojorskiej Cepelli wyjaśnił mi, że gdyby te rzeczy były tańsze nikt by ich nie kupił, nie miałyby zaufania do ich wartości — zresztą w cenę trzeba wkalkulować cło i wysokie po-datki. — Ponadto Cepella mieści się w pobliżu dwóch najdroższych ulic: Piątej Ale-i i Alei Madison, gdzie kupują tylko najbogatsi lu-dzie, a ci tanich rzeczy nie biorą.

Poza tym urządzenia we-wnętrzne tych domków w osadach nie różnią się od takich domków w miastach. W living-roomie króluje ty-powa narożnikowa kanapka, telewizor, fotel dla pana do-

nóży ludzkich, czyli mofory-zacja absurda. Druga ce-cha to znacznie większy wpływ telewizji na mental-ność mieszkańca osady niż wielkiego miasta, gdzie jak-by nie było ma oprócz tele-wizji teatry, koncerty, muzea, kina; osada zdana jest na telewizję i jej kon-sekwencje. Trzecia cecha to rozwijająca się szczególnie silnie w tych osadach sklon-ność do majsterkowania w myśl amerykańskiej zasady „zrób to sam“; to niby hob-by stało się tam narodowym zwyczajem, tak jak po-stać „majstra klepki“ stała się narodową folklorystycz-ną postacią tego kraju.

Wróćmy do sprawy pier-wszej — całkowitego zmo-toryzowania życia w „osa-dzie. W dużych miastach o-bywatel choćby nie chciał — musi jednak trochę cho-dzić, choćby z tego wzglę-du, że nie wszędzie doje-dzie wozem. Brak parkin-gów, zakazy parkowania na pewnych ulicach, czy w pew-nych dzielnicach, wreszcie niemożliwość przepychania się przez samochodowe kor-ki powoduje, że nawet ja-dąc z daleka do miasta — wóz zostawia się czasem w dzielnicach oddalonych od centrum i wędruje po mieś-cie pieszo; często jeśli mieszka się w pobliżu centrum, w ogóle nie używa się wo-zu do jazdy po mieście. W osadzie przeciwnie. Tam da-leko jest i do pracy i do szkoły i do kościoła i do cen-trum handlowego, jedne z tych instytucji położone są w odległych miasteczkach inne centralnie w odległości kilku kilometrów. Wice wszę-dzie potrzebne są cztery kół-ka. Rano — zmotoryzowany mleczarz przywozi do osady mleko, nabiał, pieczywo. Rzeczą wygodną. Następnie autobus szkolny objeżdża wszystkie uliczki osady i zbiera starszą młodzież, aby ją odwieźć do szkoły „śred-niej w miasteczku, położo-nym o kilkanaście mil. Dzieci chodzące do szkoły podstawowej — jeżdżą do niej autami; matki na zmia-nę pełnią coś w rodzaju zmotoryzowanych dyżurów tygodniowych, każda po ko-lei odwozi i przywozi pię-cioro, sześcioro dzieci swoich i sąsiadów. Potem pan domu udaje się wozem do pracy w pobliżu shoppingcenter, a przeważnie do sąsiedniego miasteczka, czy pobliskiego dużego miasta. O godzinie dziewiętej zmotoryzowany listonosz jedzie brzegiem drogi między domkami i nie wychodząc z pocztowego wo-zu, wsuwa przez okno rękę i wkłada pocztę do podłu-nej, rurowatej skrzynki, umieszczonej na słupku, na skraju trawnika i szosy. W godzinę potem nadjeżdża zmotoryzowany gazięciarz i robi to samo. Potem zmo-toryzowany lodziarz objeżdża osadę i pozytywką wywołuje najmniejsze dzieci z do-mu, które wolą, jak to dzie-ci, kupnego „loda“ za pięć centów, niż lody z lodówki. Następnie w ciągu dnia po-jawiają się: zmotoryzowani komiwojażerowie oferując różne produkty, zmotoryzo-wani agenci różnych firm u-bezpieczeniowych, banków oferujących pożyczki; od cza-su do czasu osadę odwiedza zmotoryzowany wikary, ofe-rując przynależność do swej gminy wyznaniowej, ksiądz treści religijnej, np. komiksową biblię (za 120 do-larów — na raty), wręcza-jąc swoim wiernym 56 ko-

kuje wóz, wchodzi do skle-pu, bierze stojący druczany wózeczek i w ten sposób zmotoryzowany sposób obje-dza wszystkie stoiska, nakła-da potrzebne produkty, pod-jeżdża z tym do kasy, gdzie kasjerka oblicza towar, pa-kuje do specjalnej torby na-zywanej shoppingbox'em; po-mocnik sklepowy wynosi to do wozu, pani domu po przyjeździe do domu maga-zynuje to w lodówce.

Jeśli się nie ma wozu do dyspozycji — posługuje się takim druczanim wózkiem na dwóch kółkach, pchanym przed sobą.

— W sobotę — dla rozrywki, jeśli telewizja nie zaspo-kaja głodu kulturalnego — jedzie się do zmotoryzowa-nego kina na wolnym po-wietrzu, które to kino w pewnych wypadkach — jak już poprzednio pisałam — jest zmotoryzowaną garso-nierą dla zakochanych pa-rek, albo zmotoryzowaną kołyską i wózekm dzieci-cym dla niemowląt zabiera-nych do tego kina, karmio-nych w czasie patrzenia na ekran, przebieganych, prze-wijanych i usypianych na tylnym siedzeniu. W niedzie-lę zmotoryzowana rodzina amerykańska jedzie wozem do kościoła, wokół którego mądry proboszcz — budow-nicz przewidywał i zrobił spory parking. W niedzielę wóz obywatela osady ame-rykańskiej jest tym — co świadczy o obywatelu, jego powodzeniu w życiu i in-teresach. „Pokaż mi swój wóz, a powiem ci kim jesteś“, „Poznać pana po cholewach... pardon po marce i roczniku samochodu“. Można mieć skromny praktyczny strój, niedomeblowany dom wzię-ty na raty, ale wóz spełnia te same funkcje co typowa amerykańska odpowiedź na pytanie „Jak się masz, jak ci się wiedzie?“, odpowiedź zawsze jednakowa: „Cudow-nie, świetnie!“ — choćby ci się powodziło właśnie bardzo źle.

Kiedy zaś młoda para po-biera się w osadzie — od-bywa się zmotoryzowane we-sele; za młodymi mkną or-szak weselny w samocho-dach przystrojonych w róż-nokolorowe wstążki, powie-jające w pędzie, orszak tra-biacy, hałasujący, ryczący, wszystkimi klaksonami, któ-re podnoszą z grobu zmarłe-go. Czasem, dość często na-wet, obywatela spotyka — zmotoryzowana śmierć. Przed każdym weekendem telewizja, radio, gazety na-wołują do ostrożności, przy-taczając setki wypadków drogowych, spowodowanych nieostrożną jazdą. W razie śmierci — następuje zmo-toryzowany pogrzeb; za autem — karawanem posuwa się zmotoryzowany orszak ża-lobny, odprowadzający u-marłego na miejsce wiecz-nego spoczynku.

Faktem jest, że w promie-niu kilkuset mil pewna Francuzka i ja, byłśmy je-dynymi istotami, chodzący-mi pieszo na wielokilome-trowe spacery. Kiedy uczyni-liśmy spacer z naszej o-sady spotykali mnie daleko od domu i zaofiarowywali się mnie podwieźć, a ja dzięk-o-wałam, mówiąc że lubię cho-dzić pieszo, nie mogli zro-zumieć tego. Oni do sąsia-dów o dwie uliczki dalej, też jeździli autem. Ale kiedyś — ja ich zrozumiałam. Kie-dyś moja gospodyni powie-działa mi: „Ja cię proszę ty przynajmniej o zmróku nie chodź po szosie. Czy ty mo-żesz wiedzieć kto jedzie? Na-padnicie cię, obrabuje, zabije i co będzie potem? Tu po o-sadzie możesz chodzić“. Od-powiedziałam: „Dobrze, be-dę spacerować drogą, po dru-giej stronie. O zmróku jest chłodno, najlepiej się wtedy spaceruje...“ Wtedy ona: „Tam mieszkają kolorowi, wciągną cię w kukurydę, zgwałcą...“ A kiedy potem moi gospodarze chicagowscy także prosili aby o zmróku być w domu, mówiąc: „Sa-ma kobieta u nas nie może chodzić wieczorami po mieś-cie, może iść w osłonie męż-czyn, albo jechać autem“ — wtedy zrozumiałam: auto jest jeszcze w tym zmotory-zowanym kraju — zmotory-zowana osłona człowieka przed pieszymi chuliganami i zmotoryzowanymi bandzio-rami.

WANDA KARCZEWSKA

Szkice amerykańskie (VII)

GDZIEŚ NA GREEN ROADS

ki w górę. Jak do tej pory w domach tych, jak na ogół we wszystkich domach ame-rykańskich obowiązują styły w podział na pokój mieszkalny „living-room“, gdzie skupia się życie rodzinne, słucha się radia, patrzy się na telewizor, przyjmuje go-ści, gdzie bawią się dzieci i na oddzielne, służące tylko do spania, pokoje sypialne, ma-łe zazwyczaj mieszczące ty-lko łóżko, komode, foteliki czy taboret. Jadalny pokój bywa wydzielony z „living-roomu“; oddziela go albo cześć w rodzaju framugi ściennej, albo metalowa kratka, siatka, czy balaski. Charakterystycz-ny jest brak drzwi między poszczególnymi pomieszcze-niami, drzwi nie ma także do kuchni, nierzadko kucha-nię od stołowego dziełi cześć w rodzaju lady; zresztą trzy czwarte rodzin amerykań-skich jada w kuchni. Drzwi są tylko przy łazienkach i pokojach sypialnych. Ostat-nimi czasami Amerykanki bun-tują się przeciw temu sty-lowi, czemu trudno się dzi-wić, w ogóle w tak budowa-nym mieszkaniu człowiek ni-gdy nie jest sam; skazany jest zawsze na rozkoże ród-zinnego życia, na koniecz-ność uczestniczenia w roz-mowach z gośćmi; uciec mo-że przed nimi tylko do sy-pialni — gdzie nie ma w zasadzie przy czym usiąść, chyba najwyżej położyć się.

Określanie wielkości ame-rykańskiego domu jest zreszt-ą ściśle związane z tym sztywnym podziałem na wy-mienione typy pokoi; w nich nie mówi się: mamy pięć pokoi, czy 100 metrów po-wierzchni, ale np. „O, my mamy bardzo mały dom, tylko dwie sypialnie“, lub „O oni mają wielki dom, cztery sypialnie!“ (sypialnie osobne dla rodziców, oso-bne dla dziewczynek, chłop-ców). „Living-roomy“ pokryte są zazwyczaj od listwy do listwy jednobarwna wytla-czana we wzory materiały dywanowa z metra (ok. 20-30 dolarów za metr), w sypial-niach są raczej mniejsze, pod-łużne lub jajowate dywani-ki, także zazwyczaj z two-rzyw sztucznych, nylon, coś w rodzaju rafii. Nasze dy-wany ich zdaniem, są nie-modne, ale w zamożniej-szych domach spotyka się wzorzyste i o modernistycz-nym, uproszczonym moty-wie ozdobnym, spotyka się także kilimy ścienne. Wśród zamożnych Amery-

mu ze stołkiem pod no-gi, fotele nierzadko na bieżniach; w oknie na sto-liku — spotyka się bardzo często standardową, miesz-czańską „bogata“ lampę na podstawie i nóżce kombi-nowej ze sztucznego marmu-ru i błyszczącego metalu; abażur również błyszczący, kryty plastikiem, lampy te, dość drogie, lansowane prze-dzied firm, jak np. Marshall Field, wystawiane w oknie, widoczne z ulicy wieczorem — są chyba jakimś wido-nym znakiem — symbo-lem zamożności. Ale spotyka się, owszem, także różne me-talowe kilkunastu stojące lampy. Fotele, kanapy i łóżka bardzo często pokry-te są falbaninastymi kapami, pokrowcami, nierzadko bawe-lnianego materiału w bar-wne kwiaty; my powiada-my, że to staroświeckie, oni że nowoczesne, że to ich specjalny tzw. „wiejski styl“; niech będzie, nie ma się o co sprzezać. Charak-terystyczne przy tych dom-kach są werandy, zawsze o-siatkowane przed rojami ko-marów, ogródki z jakimś ozdobnymi kwiatkami i krze-wami, rzadziej warzywniki; oni twierdzą, że nie opłaca się jarzyn hodować, skoro wszystko świeże, umyte, mo-żna dostać w sklepie. W tych

ogródkach czasem widać się sadzawki na złotych rybkach, zółwie, sztuczne celuloi-dowe kaczuszki; baseny kąpielowe są naprawdę przywilejem zamożnych ludzi.

W tych ogródkach latem się jada, odpoczywa, ale tu za-cyna być mowa o stylu ży-cia w osadzie i może żeby nie przeciągać sprawy warto by wymienić i pokrótce o-mówić trzy cechy charakte-rystyczne dla tego życia, mo-że najbardziej różniące by-towanie w osadzie od stylu życia wielkomiejskiego. Pier-wsze zjawisko to absolutna już utrata świadomości o przeznaczeniu dolnych od-

pert na 56 niedziel całego roku, kopert z nazwiskiem właściciela domku, w które to koperty wkłada się potem w każdą niedzielę na nabożeń-stwie odpowiednią sumę i składa się ją na tacy; naz-wisko wiernego na kopercie pozwala proboszczowi mieć stałą kontrolę nad bo-gobożnością i ofiarnością o-wieczek.

Zakupów dokonuje pani domu raz w tygodniu, kiedy pan domu ma wolne (5-dnio-wo dzień pracy), auto jest wtedy czymś w rodzaju zmotoryzowanej torby na sprawunki. Pani podjeżdża do centrum handlowego, par-

odpłatosi str. 5



Jerzy Walczak w roli Artura Ui.

Fot. G. Puciato

ZBIGNIEW NIENACKI

„SZOPKA POLITYCZNA” B. BRECHTA

„Kariere Artura Ui” napisał Bertolt Brecht w Finlandii w 1941 roku. Ta data wydaje mi się kluczem do zrozumienia zarówno wielkości tej właśnie sztuki, jak i jej braków, umyślnie słownictwa sobie tego, co nas w tej sztuce zachwyca, a co powoduje, że opuszczamy Brechtowski spektakl z uczuciem pewnego niedosytu.

Rok 1941 — to czas najwyższej potęgi hitlerowskiego państwa, to rok, w którym pijany od sukcesów hitleryzm zdecydował się uderzyć na Związek Radziecki. Bertolt Brecht, podobnie jak miliony ludzi, którym hitleryzm odebrał najelemenniejsze ludzkie prawa i uczynił niewolnikami, podobnie jak miliony ludzi zagrożonych zbliżającą się do nich pożądaną wojną wniecone przez faszyzm — zadawał sobie pytanie, jakie wówczas musiał sobie zadawać każdy uczciwy człowiek. Jak mogło dojść do tego, że nie nieznająca grupa ludzi skupionych wokół Hitlera, nikomu bliżej nieznanego malarzyna, rozbijająca sobie łby kufłami w niemieckich piwiarniach — zdobyła uchwylić władzę w kraju o niezwykłych tradycjach rewolucyjnych, w kraju, gdzie istniał silny i zorganizowany ruch robotniczy? Przecież ta bliżej nieznaną nikomu i nie sobą nie reprezentująca grupa nie tylko osiągnęła władzę, ale umocniła ją, wpuściła w podziemia komunistyczną partię, zbudowała potęgę militarną o wielkiej sile i zagroziła całemu światu. I Bertolt Brecht próbował dać odpowiedź na to pytanie, obnażając mechanizm kariery Artura Ui, czyli Adolfa Hitlera, a jednocześnie nie starał się ostrzec przed faszyzmem tych wszystkich, którzy nie zdawali sobie sprawy z jego niebezpieczeństwa.

Ale od tamtej pamiętnej daty minęło już ponad dwa dziesięcia lat, książki, rozprawy naukowe, prace przy czynkarskie i pamiętniki związane ze zjawiskiem hitleryzmu, mogą wypełnić ogromną bibliotekę. Zjawisko hitleryzmu widzimy ja ko bardzo złożone, różnorodne, wieloaspektowe. Stąd zapewne raża nas pewne uproszczenia, które zawiera sztuka Brechta — powstała w tamtej ściśle określonej historycznej chwili.

Sprawę narodzin hitleryzmu zawarł Bertolt Brecht

w „historii gangsterskiej”, jak ją sam nazwał. Konwencji „historii gangsterskiej” pozostał wierny przez wszystkie sceny tej sztuki, co właśnie, moim zdaniem, zdecydowało o jej uproszczeniach. W rezultacie wyszła mu nie wielka „dramma” w stylu elżbietańskie go teatru, co pragnął osiągnąć, lecz „szopka polityczna”, nie lekajmy się tego określenia, w niczym ono nie umniejsza wielkości Brechtowskiego dzieła. To prawda, że u Brechta podobnie jak u Szekspira „trup ściele się gesto”, ale nie dajmy się zwieść tak pozornym podobieństwom. Istota historycznych kronik Szekspira są zawarte w nich ogromne ludzkie konflikty i poprzez te konflikty, a nie poprzez swą „kronikarskość”, czy „historyczność”, są one ciągle nam bliższe i żywe. „Kariere Artura Ui” Brechta, to tylko relief, płaskorzeźba, kronika polityczna, w której przy pomocy jednej lub dwóch kresek zaledwie naszkicowano sylwetki bohaterów i zaledwie zasugerowano ich wewnętrzne konflikty. „Psyche” bohaterów, ich wewnętrzne życie pozostaje dla nas nieznaną, mamy bowiem do czynienia właśnie tylko z „szopką polityczną” obrazującą w sposób kronikarski historię kariery pewnego gangstera nazwiskiem Arturo Ui.

Jakie dostrzegł Brecht motory owej kariery? Pomoc wielkiego kapitału — w tym wypadku „Kafalorowego Trustu” — i terror, który zastosował Ui wobec swych przeciwników. To wszystko współbrzmiało doznaniem, gdy mamy do czynienia jeszcze z Arturo Ui, małym i zaszczytnym gangsterem. Uproszczeniem zaś się stało, gdy Ui rośnie do rozmiarów polityka i meza stanu. Albowiem uczy nas historia, że aby we współczesnym świecie osiągnąć władzę trzeba mieć ideologię. Gangster, który próbuje działać bez pomocy ideologii — programu politycznego i nie posiada zdolności mitotwórczych, pozostanie zawsze na poziomie bandyty rozbijającego warzywnie sklepiki i zbierającego haracz od przerażonych straganiarzy, nigdy zaś nie osiągnie pozycji meza stanu. A Arturo Ui w sztuce Brechta nie posiada tej ideologii, nie głosi jej, nie stwarza także mitów. Stąd i dalsze uproszczenia.

Przecież nie było tak z Hitlerem jak w sztuce Brechta, że drobni kupcy głoszą za Uiem, ponieważ jego kompani — gangsterzy przykładają im brzoń do głowy. Prawda jest ta-

ka, że setki tysięcy drobnych kupców (właśnie przed wszystkim drobniomieszczaństwem) spontanicznie i radośnie poparli Uia, ponieważ program, który im przedstawił, program zbrodni i antyludzkich, wydał się drobniomieszczaństwu niemieckiemu atrakcyjny. I prawda jest taka, że koniec końcem prawie cały naród niemiecki poparł Hitlera i stał się współodpowiedzialny za jego zbrodnie, albowiem Hitler potrafił mu wmówić przekonania o jego wyższości i obiecał potęgę i dobrobyt, rzucenie na kłęczki innych narodów. Oczywiście, nie należy umniejszać roli jaką w tej sprawie odegrał wielki kapitał niemiecki, a także terror hitlerowski. Ale sprowadzanie wszystkiego tylko do tych dwóch ostatnich czynników wydaje się próbą ograniczenia odpowiedzialności za to wszystko, co się potem stało.

Wydała mi się, że spektakl lódzki jeszcze bardziej obnażył te właśnie uproszczenia Brechtowskiej sztuki. Ot, choćby i sama sylwetka Artura Ui. Jerzy Walczak dał nam propozycję ciekawą, bardzo sugestywną wizualnie; jego Ui jest odrażający i tchórzliwy zarazem. Ale ponieważ jest właśnie tylko taki, zaprezentowany jakby tylko na zewnątrz — zupełnie nie rozumiemy, dlaczego jego kamraci tacy jak Roma, Givola i Giri, są dla niego tak pełni miłości. Dlaczego ów Roma, który przecież zdolny jest w każdej chwili zmiażdżyć Uia, jest mu jednocześnie tak oddany, za co tamten odpłaca mu się kulą w brzuch. Ui musi posiadać jakąś wewnętrzną siłę, którą daje mu władzę nad bandą gangsterów. W interpretacji Walczaka — Artur Ui nie ma tej siły i nie rozumiemy przyczyn wierności jaką mu okazują jego przyjaciele. Dlatego wydaje mi się celowe, aby Jerzy Walczak spróbował pogłębić sylwetkę kreowanej postaci; jest to możliwe przy jego talencie, trzeba bowiem powiedzieć sobie wyraźnie, że zarówno głosowo, jak i skalą środków aktorskiego wyrazu, mimiką i gestem — Jerzy Walczak zaprezentował się doskonale i wizja skurczonego, odrażającego Uia pozostanie w pamięci widzów.

W ogóle, wydaje mi się, że „Kariere Artura Ui” jest w Łodzi dużym wydarzeniem kulturalnym. Mamy przedstawienie zrobione z dużym rozmachem i co jest bardzo ważne — w ostrym tempie. Doskonali byli J,

Mazanek w roli Dogsboroug ha, choć i w tym wypadku analogia do Hindenburga nasuwa wrażenie, że coś w sztuce Brechta znów uproszczono. Zasada stosunków między starym Hindenburgiem i Hitlerem polegała przecież na zupełnie innej zasadzie, nie rozgrywała się w płaszczyźnie „uczciwości” i szantażu. Mazanek dobrze jednak odtworzył po stać ze sztuki Brechta, był i godny i sprawiał uczciwe wrażenie, choć jak napisał Brecht „tylko siwe włosy były w nim białe, zaś reszta czarna”.

Interesujący był J. Zbirog jako gangster Givola, J. Cwikliński jako gangster Giri, a także K. Iwiński w roli gangstera Romy. Tu z uznaniem należy wymienić także i F. Zukowskiego jako Aktora, (scena z aktorem jest chyba najlepsza tekstowo w sztuce Brechta), K. Woźnika w roli Obrońcy, L. Pilarską w roli pani Dullfeet. Najmniej podobał mi się panowie z kafalorowego trustu, ale i sam tekst nie pozostawiał tu du

żego pola do popisu aktorom.

Przedstawienie otrzymało bardzo prostą i funkcjonalną scenografię Ewy Sobolowej. Dekoracje znaczący tyle, ile miały znaczyć, widać się je tylko o tyle, o ile to było potrzebne dla uwypuklenia akcji. Rzadko się to zdarza w naszych teatrach, gdzie często scenograf działa zbyt wszechwładnie.

Razila bardzo muzyka. Zbyt natrętna, niepotrzebnie aż tak bardzo głośna i hałaśliwa. Zdaje sobie sprawę, że muzyka ta miała podkreślić gatunek sztuki, która ma przecież coś z widowiska jarmarcznego i „szopki politycznej”. Ale naprawdę wytrzymałość ludzkich uszu ma swoje granice i źle jest, gdy widownia zatyka sobie uszy. Po prostu trzeba muzykę nieco wyciszyć.

Teatr im. Jaracza wystawił w tym roku z dużym opóźnieniem. Ale wystartował szczęśliwie i ambitnie.

Bertolt Brecht. „Kariere Artura Ui”. Reżyseria: Feliks Zukowski i Barbara Jaklicz. Scenografia: Ewa Sobolowa. Muzyka: Hans-Dieter Hosalla. Premiera 19 listopada 1962 r. w Teatrze im. Jaracza.

Jak zwykle zrodził je przy padek, przynajmniej w Łodzi. Czy od razu i bez trudu? Nie. Na ten szczególnie przypadek złożyło się wiele przedtem nieudanych prób i doświadczeń, nim wreszcie trafiono na właściwą drogę. Ostatnim z tych przykrych doświadczeń był np. nieudany konkurs na powieść o Łodzi. Spostrzeżono nagle, że nie tędy droga, jeśli chodzi o czynną intensyfikację twórczości artystycznej, że bodziec materialny w postaci nagrody pieniężnej zawodzi słomotnie, jeśli nie towarzyszy mu atmosfera zrozumienia nieco subtelniejszych imperatywów natury swej długofalowej, niż tylko doraźna kupiecka odpłatność określonej sumy za określony termin dzieła.

Dzieło takie traktowano, jak zwykłą robotę — toteż zazwyczaj nie wychodziło ono poza granice wykonanego na zimno zamówienia. Miało charakter odwołanej mniej lub bardziej sprawnie roboty. Dla natchnienia nie przewidziano tutaj miejsca ani czasu. Bezduszne zamówienie rozdziło automatycznie bezduszną robotę.

Ale jednak zdarzało się, że konkursy ujawniały dzieła wartościowe. Owszem, ujawniały, ale czy nowodo-

ZOFIA LORENTZ

WSPOMNIENIE

Przestrzegaliśmy wtedy skrupulatnie zasad konspiracji: jak najmniej wieść. Nie dopytywałam się więc, z kim, jak i co. Zadałam tylko niekiedy po dawania miejsc spotkań. Znałam też dni, godziny i lokale tajnego nauczania. I widząc go zajętego tym wszystkim, przestałam myśleć o Łodzi. W życiu całym nie popełniłam większej lekkomyślności i większego błędu psychologicznego. Bo gdy tak pławiłam się w błogim spokoju, wypływającym z przekonania, że za pominięciem, że nareszcie utknął po uszy w Warszawie — uderzył piorun.

Którejś nocy, niczym nie zapowiadającej katastrofy moich nadziei, przyszedł do kuchni, gdzie znowu piekłam ciasto.

Przysiadł okrzemkiem na krześle i rzekł swobodnie:

— Chcę, żebyś pewną rzecz wiedziała...

— Słucham.

— Opracowuję się, przy szła Polskę... tak jest, moja miła, nie unos się, nie przerywaj... administrację, przemysł... oświatę...

— A inne organizacje robia pewno to samo, tylko ustalają swoich kandydatów na przyszłe stanowiska, co?

— Sądzę, że tak. Każdy chce leczyć chorego według własnej recepty. Odwykłem już od historycznego myślenia. Rzecz wyłuszcze ci skrótem. Mam tworzyć nowy porządek rzeczy w oświacie.

— Aha, więc w przyszłym ministerstwie...

— Wolniej, siostrzyczko, wolniej! Zrobił mi delegatem do spraw oświaty w Łodzi i województwo łódzkie. W przedmiotowej strukturze równałoby się to kuratorstwu.

— A tyś się zgodził natu ralnie — wybuchnął, — choć, co ja mówię, na pew no sam im to podsunąłeś, przynajmniej.

I odtąd odrzucone niedaw no marzenie wróciło do łask. W mury mojej od daw na wspaniałej Warszawy wsunęło się chyłkiem wid mo przyszłej Łodzi, uniwersyteckiego miasta Łodzi, no

wego ośrodka nauki, zasobnego w pracownię i biblioteki, w których synowie Chojen, Widzewa i Bałut święcić będą swe bezsporne prawa do przemierzania własnych sił witalnych z kulturą wieków...

Po raz pierwszy poczułam się bezradna, jak litościwy sędzia wobec recydywisty, jak pielęgniarz wobec ponownie wyleczonego pacjenta, który wraca do szpitala z nawrotem choroby.

Nie zapominajmy jednak, że był to już rok 1943, czas wzmagającego się w kraju z miesiąca na miesiąc terroru hitlerowskiego.

W tym też czasie walły gromy raz po raz i we mnie. Wyszedszy obroną reka z paru karkołomnych sytuacji, zaczęłam wierzyć w przeznaczenie. I prawdopodobnie to przeobrażenie sprawiło, że przestałam bo rykać się z... Łodzią. Nie było to rezygnacją. Raczej krzesło i rzekł swobodnie: — Chcę, żebyś pewną rzecz wiedziała...

— Słucham.

— Opracowuję się, przy szła Polskę... tak jest, moja miła, nie unos się, nie przerywaj... administrację, przemysł... oświatę...

— A inne organizacje robia pewno to samo, tylko ustalają swoich kandydatów na przyszłe stanowiska, co?

— Sądzę, że tak. Każdy chce leczyć chorego według własnej recepty. Odwykłem już od historycznego myślenia. Rzecz wyłuszcze ci skrótem. Mam tworzyć nowy porządek rzeczy w oświacie.

— Aha, więc w przyszłym ministerstwie...

— Wolniej, siostrzyczko, wolniej! Zrobił mi delegatem do spraw oświaty w Łodzi i województwo łódzkie. W przedmiotowej strukturze równałoby się to kuratorstwu.

— A tyś się zgodził natu ralnie — wybuchnął, — choć, co ja mówię, na pew no sam im to podsunąłeś, przynajmniej.

I odtąd odrzucone niedaw no marzenie wróciło do łask. W mury mojej od daw na wspaniałej Warszawy wsunęło się chyłkiem wid mo przyszłej Łodzi, uniwersyteckiego miasta Łodzi, no

macie, charakterze i cechach z góry określonych — kończyły się niepowodzeniem, nie przynosząc z reguły spodziewanych rezultatów. Wystarczy przypomnieć z minionej okolicy organizowane z wielkim kosztem konkursy na współczesny dramat polski, które rozpętały powódź grafo manii, a nie przyczyniły się do powstania ani jednego dzieła godnego dzisiaj zagrania na scenie. Koniec iluzji, proszę państwa: żadne „Hamlety”, „Rewizory” czy „Wesela” nie powstają drogą konkursów. Ani „Ziemia obiecana” czy „Kwiaty polskie”.

A zatem konkurs, a zwłaszcza konkurs „na zadany temat”, jako forma mecenatu społecznego nad twórczością czy też raczej jako forma inspiracji lub intensyfikacji tej twórczości nie tylko nie zdał egzaminu praktyki, nie tylko się zdeza wuował, ale kompletnie w ostatnich zwłaszcza czasach, się skompromitował. Zbyt kosztowna to zabawa, w której, że tak powiem, skór

sedno rzeczy
MARIAN PIECHAL



dział już gotowe lub prawie gotowe przypadkowo pa sające do założenia tego konkursu. Zaś konkursy, które programowo niejako zakładały napisanie dzieła o te-

O ZYGMUNCIE LORENTZU

w świecie: doskonale spreparowana przepustka i urlopowy ausweis z pieczęcią i podpisem Archivrata Ranza.

— Idziesz im sam w łapy. Rozpozna cię pierwszy lepszy volksdeutsch. Mnie poślij.

— Nie. Tym razem muszę ja sam.

— Musisz? Czy naprawdę musisz?

Uśmiech prawie dziecięcej przekory i lakonicznie: — Muszę...

Oczywista, że nikt go nie zmuszał. Czemu zaś uważał sam, że musi?

Uważając wtedy całą imprezę wyjazdową za nonsens z punktu widzenia konspiracji, nie miałam przeświadczenia, by koniecz nie miała się nie udać. Byłam przyzwyczajona do kar kołomych sytuacji, bywałam świadkiem i uczestnikiem pozornie beznadziejnych wypadków, z których wychodziło się z życiem. Rozumiałam, że tkwiąc w nim potrzebą ofiary nie znajdowałam ujścia ani zadość uczynienia w pracach tajnego nauczania, że zabezpieczając przed łapankami ośmiogodzinne urzędowanie w Archiwum wprost mierziło, że politykowanie w ramach ZWZ dławilo i gnębiło. Pożądał dla siebie sam mego czegoś bardziej bojowego, jakiegoś va banque... Zrozumiałam także wtedy, wzniosłszy się na szczyty wyrozumiałości, że chce połączyć ten jakiś swój czyn — z Łodzią.

Wyjazd nastąpił 13 września. Była to data urodzin, roztępienie wybrana. Rozmyślnie, lecz pod jakim kątem widzenia? Czy miało to być wyzwaniem, rzuconym feralnej trzynastce? Czy może odwrotnie: oddanie się jej w opiekę? Nie starałam się być subtelna w tamtych straszliwych czasach. Koszt tem narzuconej szorstkości utrzymywałam mój wojenny dom... Nie rozstrząsałam więc intencji tego posunięcia. Potraktowałam rzecz po wojskowemu: wymarsz 13, godzina 7 rano.

W 6 dni potem nadeszła telefoniczna wiadomość o aresztowaniu. Wiedziałam, że to już koniec, że warty organizm nie wytrzyma wię

Zygmunt Lorentz — to postać dobrze znana Łodzi okresu międzywojennego. Kilkanaście roczników uczeni b. Miejskiego Gimnazjum im. J. Piłsudskiego (dzisiejsze III LO im. T. Kościuszki) zachowało na pewno w pamięci wspomnienie o swym świetnym wykładowcy historii, wnikliwym wychowawcy, prawdziwym humanicie i przyjacielu młodzieży. Urodzony 13 września 1894 r. w Orzeszkowie, w powiecie łęczyckim, Łódź i województwo łódzkie oddał cały trud swego niedługiego żywota jako założyciel i wieloletni prezes Łódzkiego Oddziału Polsk. T-wa Historycznego i redaktor Rocznika Historycznego tegoż oddziału, czy jako inicjator założenia T-wa Przyjaciół Nauk w Łodzi, pionier regionalizmu łódzkiego, a także organizator życia kulturalnego włączając jeszcze w owych czasach „Złoty miasteczko”; czy wreszcie — w tragicznych dniach września 1935 roku — jako generalny sekretarz Komitetu Obywatelskiego, który po ucieczce władz administracyjnych objął rządy w mieście.

Wysiedlony z Łodzi przez okupanta w maju 1940 r. dociera do Warszawy, gdzie od razu włącza się do akcji tajnego nauczania. We wrześniu 1943 roku przedsięwzięcie niebezpieczną wyprawę do Łodzi, by i tu powłazać, głębiej niż gdziekolwiek indziej ukryte nici tajnego nauczania. Rozpoznany przez Gestapo, w więzieniu na ul. Sterlinga, przypiętutowuje męczenną śmiertelność swoje przywiązanie do Łodzi i umiłowanie wolności.

W roku 1945, po wyzwoleniu, gdy z więzień i obozów napłynęli ludzie w paśnikach i z ogolonymi głowami, znaleźli się tacy, którzy nas szukali i odnaleźli. Byli to ludzie prości i wszyscy — łodzianie. Przyszli, by nam powiedzieć, że wtedy, jesienią 43 roku, siedzieli tu w Łodzi, na ulicy Sterlinga, w jednej celi z „tym panem profesorem”. I że do póki mieli go między sobą, to im nie było tak źle. Bo gdy przychodziła szara godzina, ta najgorsza, kiedy się najbardziej tęskni za wolnością i domem, to On ich wszystkich zbierał i za czynął opowiadać.

— I o czymże to wam ten mój braciśzek... pytałam.

— Ano, żeby tak prawdę rzec — to o całym świecie — odpowiadali. — A najwięcej — o samej Polsce, o jej dawnych królach, o szlachcie, o chłopach i o mieszczańach. A znów innym razem — o mieście Łodzi: jak to po wojnie fa

brykancl precz pójdą, a Państwo fabryki poprowadzi. Czasem zaś, w kącie na ziemi siadłszy i oczy przymknawszy wspominał góry. Musiał je gdzieś blisko serca nosić, bo kto Go słuchał, to tak, jak by je widział...

To pierwsza wiadomość, z którą przyszedł. A druga też się okazała nie byle jaka: mówili, że bicie dobrze znosili.

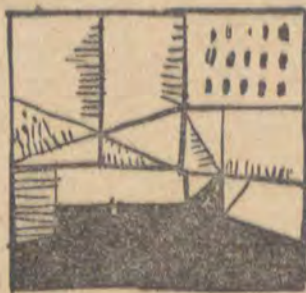
— Bo nie każdy jednakowo — mówili. — Bywa tak, co nawet utrzyma się i nikogo nie wyda, ale sam się straci i już jest nie do ludzi. A On — nie. Z początku sam wracał z przesłuchania, z Anstadta, to tak jakby w Warszawie z Szucha, o własnych siłach i uśmiechał się do nas, że niby nie tak straszne nie jest. Potem go już przyprowadzali pod ramiona. Ale też się nie trapił. Tyle, że już wiele opowiadać nie mógł, bo mu głosu brakowało. I długo tego bicia nie wytrzymał, boć to przecie chuchierko było, że Jezul Ale ducha miał.

— I o czymże to wam ten mój braciśzek... pytałam. — Ano, żeby tak prawdę rzec — to o całym świecie — odpowiadali. — A najwięcej — o samej Polsce, o jej dawnych królach, o szlachcie, o chłopach i o mieszczańach. A znów innym razem — o mieście Łodzi: jak to po wojnie fa



EUGENIUSZ FOERSTER

OJCZYZNA ODJAZD



Rozprysnięty w kropelkach mgły
Kroczę mój Ojciec
Okryty aureolą płaszcza
Oplera się o ścianę wagonów
Traca ludzi zaznaczonych
Chusteczkami

Skrapla się
W białą plamę

Żegna syna.

Zmęczone jaskółki
Osiadły na drucie telegraficznym
Zbierają ziarna deszczu.

Gdzie jest ojczyzna
Bez deszczu?
Szukajcie nieba bez chmur
Rozczarowani tubylcy
Ja zostanę tutaj
Lubie niekiedy popatrzyć
Na tęczę.



PETER VIERECK

Thum. Jarosław-Marek Rymkiewicz

NOSTALGIA

1

Po wiekach, ośmiu wiekach pomiędzy gwiazdami,
Nagła tęsknota za młymi sierpniami
Znow wlokła mnie przez pół kosmosu,
I znowu ta planeta, a słodka jak trzciny,
Gdzie wiatr ma pióra i krtan jest pierzasta
I gdzie obrazy
(Powiedzmy „błękit” lub „południe”) tak słodkie są,
Że serce z trzaskiem pęka.

2

Po chwilach, ośmiu chwilach nie się nie zmieniło
Między ptakami, które wciąż w rozbłyskach,
Między listowiem, co jak deszcz nad rzeką,
I serce pęka z trzaskiem w błękit i południe
I słodki niby trzciny czas sierpniowej nocy
I tylko ten lud
Przemieniony, mój lud, mój lud, co wszystko zapomina.

3

„Po cyklach, ośmiu cyklach, i jak mnie powitasz?
Gdzie są me konie? I gdzie jest ma harfa?
I czemu milczą bębny z kółkiej skóry?
Niech wiruje w przepaści trzciny wino;
I narzuc na mnie ten płaszcz profetyczny;
A moje imię...”
I wtedy usłyszeli to ostatnie i stracone i zbyt gorzkie
słowo,
O pobycie P. Vierecka w Łodzi piszemy na str. 12

NOWE FORMY MECENATU SPOŁECZNEGO

ka nie warta wyprawki. Jeżeli gdzieś w kraju uradza się jeszcze konkursy, to są to przejawy szkody, bo w konsekwencji marnotrawnej, bezmyślności — rezultaty są zawsze jałowe, a korzyści dla kultury więcej niż wątpliwe.

Trzeba tedy sięgnąć po inne formy mecenatu nad twórczością, a przynajmniej tych jego racjonalnych założeń, które mają na celu pobudzenie rozwoju wszelkiego rodzaju twórczości. Te nowe formy mecenatu społecznego muszą zdecydowanie zerwać z dawnymi sposobami kupieckiej odpłatności. Sztuka tworząca to nie sztuka miesa, której ceny można reglamentować. Cenna twórczość dzieła sztuki jest niewymierna. Jedną z licznych „Martwych natur” Cezanne’a można było nabyć, za jego życia za marne kilkadziesiąt franków, dziś nie nabędzie się jej na wet za kilkadziesiąt tysięcy, a jutro?

Wiedząc o tym, nie można do żywej twórczości stosować miar kupieckich, po

legających na doraźnej odpłatności czymś za coś. To typowa metoda kapitalistycznego traktowania rzeczy. Nowe formy mecenatu w warunkach ustroju socjalistycznego muszą nosić cechy wyłączone raz na zawsze kupieckie traktowanie spraw sztuki na zasadzie doraźnej wymiany usług i natychmiastowej odpłatności. Wulgarny utylitaryzm i wąski praktycyzm w dziełach twórczości artystycznej obcy jest prawdziwie socjalistycznemu widzeniu sztuki i jej doniosłości, bo nie zastąpionej niczym in-



nym, roli w kształtowaniu charakteru i siły wyobraźni ludzkiej. Działanie sztuki na mentalność i obyczajowość ludzka jest wprawdzie bardzo powolne, ale też proporcjonalnie dogłębne, skuteczne i trwałe. Obejmuje bowiem jak płomień wszystkie naraz rezerwy wewnętrzne człowieka natury zarówno zmysłowej jak i umysłowej.

Nowe formy mecenatu społecznego oparte są właśnie na takim rozumieniu spraw sztuki i twórczości, a jest to jedyne rozumienie, zgodne ze współczesnym stanem wiedzy o tym trudnym i skomplikowanym przedmiocie. Cechuje te nowe formy mecenatu socjalistyczna, rzekłbym, ufność w człowieka, w jego siły twórcze, w skuteczną ostatecznie, choć nie doraźnie, realizację tych sił. Stąd wielka cierpliwość w oczekiwaniu na spodziewane rezultaty twórczych zamiarów człowieka i jego ambicji. Inwestycje w tej dziedzinie zamiarów ludzkich niekoniecznie muszą się

profitować natychmiast i w określonych z góry rezultatach. Wystarczy przesvědzenie, że wkład nie będzie bezskuteczny. A to jest kwestia wiary czy też raczej ufności w twórczą siłę natury ludzkiej, w niezawodność praktycznej strony zdolności człowieka, w niezbędność życiową sztuk, a więc i jej żywego źródła, jakim jest każda jednostka obdarzona talentem artystycznym. Takie formy mecenatu, które nazwałbym prawdziwie socjalistycznymi, wymagają w twórcy prześvědzenie, że nie jest osamotniony i niepotrzebny w społeczeństwie, a w społeczeństwie poczucie bezpośredniej odpowiedzialności za aktualny stan kultury i jej dalszy rozwój.

Można z dumą stwierdzić, że te nowe tak właśnie rozumiane formy mecenatu społecznego zrodziły się właśnie w Łodzi, stolicy światła pracy. Są one z ducha naszych czasów, z ducha socjalizmu. Biorąc za przykład ilustracyjny skromne liczebnie środowisko li-

terackie w naszym mieście, trzeba przyznać, że te nowe formy mecenatu zrodziły się nie bez trudu i wielu nieraz zawodnych prób. Ostatecznie doszło do pełnego wzajemnie zrozumienia między opiekunskimi instytucjami naszego miasta a podległymi im środowiskami twórczymi, a zwłaszcza środowiskiem literackim. Różne formy konkretnej i doraźnej opieki czyli mecenatu ze strony czynników, że tak powiem, dyspozycyjnych nad twórczością literacką łódzkiego środowiska, obliczone na bardziej odległe perspektywy rezulta-



tów artystycznych, świadczą o wielkiej dojrzałości tych czynników i o ich wielkich ambicjach w tej dziedzinie swej działalności.

Ta cenna inicjatywa Łódzi powitana została z uznaniem w całym kraju. Na Łódź, jako na przykład no-

wych form mecenatu społecznego powołują się inne środowiska twórcze. Subsydia zakładów przemysłowych dla pisarzy bez żądań określonego w charakterze dzieła, stypendia władz wojewódzkich dla pisarzy pracujących nad dowolnie przez siebie wybraną tematyką terenową. Wzrost pisanarom przez Związek Zawodowy Włóknarzy opieki nad świetlicami i bibliotekami zakładowymi w wybranej przez nich formie, wspieranie czynne każdej inicjatywy imprezowej, odczytowej i wydawniczej łódzkiego środowiska literackiego — wszystko to świadczy o wielkim zasobie wiary ze strony tak zwanych czynników w socjalny sens ich poczynania, o ich nowoczesnym rozumieniu trudnej problematyki twórczej, o ich zaufaniu w społeczny i postępowy rezultat ambicji artystycznych łódzkiego środowiska. W ten sposób Łódź z wolna przestaje być prowincją, a staje się coraz bardziej aktualnym ośrodkiem współczesnej kultury narodowej.



str.

7

PRZED NAMI DWA MIASTA...



Dalszy ciąg ze str. 1

już taki szczyt, że trzeba było za wszelką cenę przystąpić do dzieła naprawy. Jesteśmy jednak jego świadkami, właściwie od roku 1959, bo to był pierwszy rok powojenny, kiedy władze miasta nie pogorszyły obywateli jako całości warunków mieszkaniowych: przyrost naturalny wyniósł owego roku sześćdziesiąt tysięcy, a przyrost izb zbudowanych ze środków miejskich — 5960.

Tylko, że tego dzieła naprawy nie można było realizować bez nowych metod i nowej techniki. Przecież dzięki technice można sobie wytłumaczyć skok, jakiego dokonało łódzkie budownictwo w ostatnich latach:

1959 —	5960 izb,
1960 —	10.100 "
1961 —	12.100 "
1962 —	14.500 "

(ten rok jeszcze trwa, ale jak co roku i ten plan powinien być wykonany).

Technika pozwoliła zaoszczędzić wiele pracy ludzkiej: w 1959 roku 3900 izb budowało w Łodzi 16,5 tys. ludzi, a w roku bieżącym — 14.500 izb buduje tylko 13 tys. ludzi. A ponadto w 1959 roku budowaliśmy w Łodzi tylko izby i najwyżej parę szkół — teraz oprócz mieszkań (140 proc. więcej) również 18 szkół, obiekty handlowe (różne „Balatony” np.), rozbudowujemy uczelnie itp.

A ile kosztował ten rozmach? Nie było zawałów serca u ludzi na kierowniczych stanowiskach w budownictwie, nim łódzkie zagłębie budowlane stało się ze swymi 4 miliardami zł „przerobu” trzecim zagłębiem w kraju (po Śląsku i Warszawą)?

Kosztowało to wiele starć i walk, a gdy trzeba było się pisać z planami w górę, okazało się, że brak łódzkiemu budownictwu najważniejszej rzeczy: zaplecza w ludziach, fachowcach i tradycji budowlanej. Tych tradycji w Łodzi nigdy nie mieliśmy, bo jak okiem w przeszłość sięgnąć, w Łodzi istniało zawsze tylko albo budownictwo pałacowo-fabryczne posiadających, albo bieda-budownictwo wydziedziczonych. A po ostatniej wojnie, gdy trwał zastój budowlany w Łodzi, i ci nieliczni nawet technicy budowlani, majstrowie i inżynierowie opuszczali jeden po drugim Łódź, szukając lepszego chleba w Nowej Hucie, Warszawie, na Śląsku i gdzie indziej.

Z powojennej Łodzi pochodzą nie tylko ministrowie i artyści, ale i robotni-

cy budowlani, technicy i inżynierowie, którzy odeszli budować inne miasta i inne fabryki. Jeśli pierwsi przyczyniają nam siły, brak dróg szkodzi miastu już od lat. I jest tak jeszcze dziś, że na budowie kosztującej 32 mln. zł pracuje tylko 5 techników przy czym jedynie 2 posiada uprawnienia budowlane, że do budowy 200 milionowej nie można znaleźć kierownika. Obok tego inne zjawisko: znany w Łodzi inżynier zalał się na skutek trudności i przeniósł do Puław, by nie targać sobie więcej nerwów, inny fachowiec (dyrektor przedsiębiorstwa) nie wytrzymał „rozrabiania” wokół swej osoby i odszedł do innej pracy.

Miasto wybudowało w trzy lata (1953-60) 17,5 tys. izb a w tej pięciolatce chce izb wybudować blisko 100 tysięcy! Po to, by zmniejszyć zagęszczenie z 1,90 na izbę do 1,63. W następnych trzech pięciolatkach (1960-80) miasto zamierza wznieść... 500 tys. izb, aby każdy łódzianin miał dla siebie jedną izbę. A rachunek jest taki: bieżący w 1980 roku, miastem 800 tys., do 300 tys. izb zaś jakie Łódź posiadała w 1960 r. dojdzie 100 tys. z tego planu, a pół miliona z trzech planów następnych, czyli razem powinno być w Łodzi 900 tys. izb. Ale rozwój miasta i jego komunikacji będzie wymagał wyburzeń (36 tys. izb), wiele domów ulegnie śmierci technicznej i wykruszy się (około 57 tys. izb) — pozostać więc nam w efekcie 800 tys. izb dla 800 tys. obywateli.

Oto zamiar, którego nikt chyba w Polsce nie podjął — w ciągu 170 lat (od końca XIX wieku do 1960 r.) wybudowano w Łodzi miasto z 300 — tysiącami izb, a w ciągu lat 20 ma ich powstać 600 tys., czyli dwa miasta. Jest więc do czego dążyć, ale że owoce same nie dojrzają, już dziś trzeba by pomyśleć o stopniowym usuwaniu zatorów na drodze. Już obecnie, np. wypadłoby oczywiście uznać fakt, że nauka pomaga budownictwu, przecież Łódzka Politechnika dostarczać będzie kadry zdolnych fachowców.

Na Politechnice utworzono kilka lat temu Wydział Budownictwa Lądowego i otucha wstąpiła w szeregi walczących. W roku ubiegłym pierwszy absolwent opuścił mury uczelni, ale kto z nich przyszedł do budownictwa łódzkiego, tak łaknącego inżynierów specjalistów?

Absolwentów było jednak jeden poszedł na dalsze studia do... Instytutu Afrykańskiego, drugi zamienił Łódź na Warszawę, gdzie mu pewnie obiecali więcej, niż dostałby w Łodzi, trzeci do Biura Projektów, szóstemu na Politechnice jako asystentowi a tylko... dwóch przyjęło pracę w przedsiębiorstwach budowlanych jako stażysty. W tym roku ma

być lepiej, „wysyp” będzie większy (około 30 inżynierów) i jeśli połowa z nich zostanie w budownictwie, to i tak powinniśmy się cieszyć. Zresztą, czy absolwenci spieszą się do stażu pracy? Przez dwa lata otrzymują oni 1200 zł miesięcznie (a asystent — 1500 zł i 2.160 już w drugim roku asystentury), a jak na budowie zarabiasz 1200 zł, to w oczach tynkarzy, parkieciarzy i mechaników od sprzętu jesteś ciężki frater i pewnie nie nie umiesz.

Bo ci tynkarze, parkieciarze i mechanicy bez żadnych studiów, a najczęściej i bez pełnej szkoły podstawowej „wyciągają” od 5 do 7 „kawalków”. Taka jest wymowa faktów i choć wszyscy naokoło ją połączają, stanowią nadal ośrodek składowy stosunków, filozofii życia i klimatu w budownictwie.

„Fraterów” nie ma zbyt wielu i wśród ludzi z głową. Co najsprytniejsi inżynierowie i technicy przekwalifikowali się i poszli do biur projektowych, gdyż fama mówi, że ci od rajbretów i „dwunastaków” wyciągają. Dopiero przy „rajbretach” gdy przyszło podpisać czy inną szkołę Tysięcioletnia czy obiekt dla handlu lub zdrowia, przekonali się ci świeżo przekwalifikowani, że fama mówi prawdę: „dwunastaka” w biurze projektów można wyciągnąć.

I dlatego przez tyle lat nie mieliśmy projektów takich, typowych i dostosowanych do potrzeb łódzkich, dlatego jeszcze dziś tyle niechęci do projektów powtarzalnych i typowych, dlatego wrogim nr 1 co drugiego projektanta jest oszczędność i oszczędny projekt, a przyjacielem — szkoła — Jomnik na Pojezierskiej, szkoła na Widzewie, czy wreszcie Biblioteka na Narutowicza. Ale projektanci polują na takie „gratki”, bo ich „dola” pochodzi od wartości projektowanego obiektu, a nie od rzeczywistego wkładu pracy, a polują z powodzeniem, bo miasto chciałoby się jak najrychlej wydźwignąć na powierzchnię miast cywilizowanych i kulturalnych, ma więc nóż na gardle i nie potrafi mu czekać na społeczną i obywatelską dojrzałość architektów.

Prawdziwą dzunglę stanowi również rynek pracy budowlanych. Ponieważ z łódzkich nadwyżek budownictwu nie wolno korzystać — trzeba szukać ludzi w terenie.

A tu jest tak: z 30-tysięcznej rezerwy rąk do pracy inwestycje powiatów i województwa są w stanie wykorzystać tylko 17 tysięcy, reszta zaś szuka zajęcia samodzielnie. I dochodzi do tego, że na budowę działoszyńskiej cementowni tak łaknącej ludzi, dowozi się fachowców z Piotrkowa czy Wielunia, gdy majstrowie i technicy z Działoszyna i okolic jeżdżą do roboty na Śląsk. Fachowcy mówią, że

brak jest na rynku pracy jednego gestora, który by wszystko utrzymał w garści. W praktyce powstała więc specyficzna grupa ludzi — „wędrowców bez koszlurów”.

Przechodzą oni z przedsiębiorstwa do przedsiębiorstwa, z budowy na budowę, zmieniając miejsce pracy co 3-4 miesiące, a nawet częściej. W każdym nowym miejscu żądają o kilkadziesiąt złotych więcej, niż zarabiali przedtem, a że nikt nie ma czasu sprawdzić, kto zechce i że każdego fachowca przyjmują na każdej budowie jak wybawiciela, karuzela nierobów i nieuków trwa. W tym kilkusetosobowym batalionie kanciarzy jest sporo młodych ludzi, dopiero po studiach, a klasycznym przykładem działania praw czun-gli ma budowlany rynek był pewien absolwent wyższej uczelni, który w ciągu roku zmieniał pracę aż 12 razy...

Mamy więc przez 20 lat wybudować w Łodzi dwa miasta po 300 tys. izb każde, aby łódzianie w 1980 roku mogli żyć w warunkach naprawdę godnych współczesnego człowieka. Ale jeśli w bieżącej już 5-latce mamy urzeczywistnić czwartą część tej idei do 1965 roku powinniśmy zastąpić techniką pracę 7.800 ludzi, których należałoby przyjąć, gdybyśmy mieli budować tak szybko, jak dotąd. Ze jednak na to czasu nie będzie (w okresie pięciolatki 1966-70 miasto ma otrzymać 167 tys. izb, a nie 100 tys. jak w obecnej) — jedyny ratunek w uprzemysłowieniu.

W tej chwili Łódzkie Zjednoczenie Budownictwa pyszni się tym, że 72 proc. zadań wykonuje się metodami uprzemysłowionymi, a przecież następne lata muszą przynieść dużo wyższy poziom techniki w budownictwie, jeżeli plany mają być wykonane, aby na placach budów nie powstała zadyszka. Czekając na wielką pracę w dziedzinie postępu technicznego i lepszej organizacji pracy na budowach, choć już dziś, na ile obecnej praktyki uprzemysławiania nawiązują się istotne wnioski.

Przed wszystkim ten: już wkrótce nie będzie na łódzkich budowach miejsca dla tych, którzy mało umieją i nie chcą opanować nowej techniki, nowego sprzętu, nowych metod. A im szybciej zmienią swój stosunek do tego, co niesie życie i nauka — tym dla wszystkich lepiej. I tu kilka słów o tynkarzach. Mimo zakazów rzeczowego tynkowania — agregaty tynkarskie stoją beczynnie i tylko święci pańscy wiedzą, w jaki sposób tynkarz, który pracuje tradycyjnie wychodzi na swoje (i to do brzoje) w sytuacji, gdy oblicza mu się płac tak, jakby pracował na mechanizmie agregacji. Robi się fakcie „wólty” gdyż niechęć tych poczytych fachowców do techniki jest przegromna.

Agregatów mamy w Łodzi 50 i nawet gdybyśmy osiągnęli tylko połowę wydajności, jaką na nich uzyskuje tynkarz w NRD (80 m kw. tynku na 8 godzin — u nas normalnie zaledwie ... 30 metrów) — jakże szybko oddawałbyśmy bloki do użytku i jak skróciłbyśmy odrabianie milionowych zaległości w elewacjach! Tynkarzy, malarzy, parkieciarzy jest mało, więc oni dyktują warunki na budowie. Nie pytają, przychodząc do pracy: „Jakie są u was płace?”, a wręcz: „Dacie 5 tysięcy?”. I... trzeba dać, inaczej plan się zawali.

Kłopoty z ładowaczami są innego typu: cykl pracy (załadowanie, ale takie aby cegły się nie flukły, zawieszanie, wyladowanie, znów ta-

kie, aby się cegły nie sfalowały, uporządkowanie miejsca wyladowania) straca sobie do jednej czynności — pędzą na miejsce wyladowania, zwalają cegły na bezładny stos, flukac co druga i jazda po nowym transport, po nową normę. W ten sposób wielu łódzkich ładowaczy wyrabia 600-700 procent normy a więc dodatkowo kilka tysięcy złotych „za frater”.

Dyrektora Zjednoczenia załapało to kiedyś. Już nawet nie chodziło mu o to, w jaki sposób człowiek bez szkół podstawowych zarabia więcej od niego — kierownika instytucji zatrudniającej w Łodzi 13 tys. ludzi, ale po prostu o zdemaskowanie bezczelności i marnotrawstwa. Już na pierwszą próbę zbadania sprawy na placu budowy, ładowacz wykonujący 700 proc. normy usiłował poczęstować dyrektora cegłą...

Jakże więc nie pisać o starzych grzechach łódzkiego budownictwa? Oto dwa obrazki, napędzane odnotowane z pamięci.

Gdy przygotowywano tynkowanie pewnego domu na Kozinach, pierwszą rzeczą brygady, która zakładała rusztowanie, było... oblać sprawę. Ludzie zeszli z rusztowania o trzeciej, ale na dachu bloku bułeczka po „proletariackiej” bluszczala w słońcu dnia i potem — w świetle jarzeniowym do następnej rana. Nawet nie znieśli jej — tak byli przemęczeni. U znalezionych w blokach jest pokój, w którym i domorosły Sherlock Holmes odkryłby bez wahania piżenkę „godzinę X” robotników przybijających podłogę: oto dwa metry od drzwi linia gwoździ idąca prostopadle od okna, łamie się raptownie, jakby przez pokój przeszedł huragan — w tym to momencie „odpłynął” pół litra...

Pije się, pije się jeszcze i to dużo. I zapisuje roboty, których nie wykonano, o jak pisuje. Po prostu za mało jest jeszcze ofensywa ze strony organizacji działających w przedsiębiorstwach i na budowach, lubią często ułatwiać sobie one życie, upraszczając problem. Jeden dyrektor przedsiębiorstwa opowiadał:

— Łapcie mnie sekretarz i pyta o plan, bo jak mówi, podobno leży. To pomożcie — mówię sekretarzowi — „Ja?” — zdziwił się — wy odpowiadacie za produkcję. Tętno „produkcji” zwiódł sekretarza, który nie zdaje sobie sprawy z tego, że w budownictwie produkcja jest wszystko: i to, czy załoga stosuje dyscyplinę pracy, czy się obija pod bokiem organizacji związkowej i partyjnej, czy pije w czasie pracy, czy na agregaty tynkarskie patrzy jak na wroga czy jak na dobrodziejstwo techniki. I to źle, że organizacje partyjne i związkowe w „budownictwie” nie przejęły się jeszcze swą rolą wychowawczą i pomocniczą, że nie sobie jeszcze mają kulturę miejsca pracy na budowach organizowanych w tym mieście, tak pozbawionym tradycji porządku i sprawności organizacyjnej, i — bywa — boją się na rzeczy nowe a potrzebne.

Do jednego przedsiębiorstwa w Łodzi przyszedł młody socjolog na etat, aby wreszcie zacząć ciekawie i pożytecznie studium o człowieku realizującym tak wielkie dzieła w Łodzi. Kto wtedy zawiadził się w dyrekcji z zadaniem zwolnienia socjologa? „Aktywista”.

— Dyrektorze! — zawołał — po co nam taki facet? Chodzi tylko, przygląda się wszystkiemu i wszystkim, podsłuchuje i coś pisze. Czy nie szkoda na to pieniędzy?

I dyrektora ugłębia się przed „aktywistą”.

I jeszcze jednym zjawiskiem należałoby się zająć w łódzkim budownictwie — marnotrawstwem czasu w kierownictwie przedsiębiorstw i Zjednoczeniu. Jest w Łodzi klimat napięcia i gorączkowego oczekiwania na efekty, niepokoi nas każdy słabszy miesiąc czy kwartał, obawa o plan spędza sen z oczu i miastu i Komitetowi. Ale może by mimo to kierownictwo przedsiębiorstw i Zjednoczenia zostawić więcej czasu na działanie?

Tego dnia, gdy notowałem listy i fakty, dyrektor Zjednoczenia musiał wyjaśnić komu należy sprawę czy plan jest, czy nie jest zagrożony. Zabrało mu to kilka godzin czasu, a przecież udało się, że rozmowy i konferencje pod hasłem „plan zagrożony”, o tym, „że by wykonać”, „że trzeba” — zabierają odpowiedzialnym za to wszystko ludziom 60 proc. drogiego czasu przeznaczanego właściwie na działanie operatywne, zarządzanie, na likwidację nagłych kryzysów i spieć. Ten wniosek nasunął mi się już w momencie, gdy zarejestrowałem odwręcone tylko fragmenty bitwy toczącej się na wielkim łódzkim poligonie:

— kierownicy budów przyszedł z ostrzeżeniem, że robota stanie, jeśli natychmiast nie nadajcie cement,

— kolej nie daje dostatecznej ilości wagonów dla dowożenia żwiru, którego brak w tej chwili „tylko” 30 tys. ton,

— skąd, u diabła wziąć 1000 ludzi do pełnego planu zatrudnienia?

— zagrożone są roboty zbrojeniowe, bo nie nadeszły jeszcze dawno obiecanne dostawy 250 ton drutu 4,5 milimetrowego (dla bloków, które muszą być oddane w br.),

— zamiast rur ciepłowniczych długich, przyszły krótkie — co zrobić, gdy nie ma odpowiedniej ilości spawaczy?

— 700 izb z terminem oddania do użytku również w tym roku — w ogóle nie można jeszcze zacząć, bo inwestor nie rozebrał dotąd stojących tam starych rud...

Nie wiem, ile z tych spraw w interesie dziesiątków tysięcy rodzin czekających na mieszkania, udało się do tej chwili załatwić, ale jedno jest pewne: cement, stal — bez których nie maś budownictwa — przestały być w naszym kraju towarami, którego dostawami i sprzedażą zajmują się dyrektorzy handlowi hut i cementowni. Stal, cement i wiele innych niezbędnych materiałów budowlanych stały się u nas przedmiotami kultu niemal religijnego, dewocjonaliami. Jeśli bowiem sprawa zaległych i dawno zaplanowanych dostaw 1000 ton cementu dla łódzkiego budownictwa nie mógł załatwić dyrektor handlowy i trzeba było dopiero interwencji u samego MINISTRA, jeśli 30 ton drutu zbrojeniowego nadejdzie wreszcie do Łodzi, w wyniku interwencji u DWÓCH MINISTERÓW, to...? Jej interwencji trzeba i u kogo, aby do Łodzi nadszedł żwir, bez którego w ogóle ruszyć się nie można? Może u samego PANA BOGA?

Zegnałem się z ludźmi, którzy z niezwykłą cierpliwością wprowadzali mnie w ten zaczerpnięty świat wielkich ambicji i wielkich nieporozumień i nie wiedziałem co powiedzieć.

Myślę — rzekłem wreszcie — że tylko spokój może was uratować...

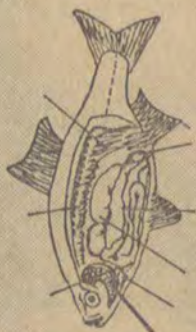
Tak, żeby w jednym mieście wybudować aż dwa miasta, naprawdę trzeba wiele spokoju — rzekł dyrektor.

FELIKS BABOL



Fot.: W. Billński

A fisherman brought a very large fish to a rich man's house and said:
— I don't want money. One hundred lashes on my back is the price of my fish.
The rich man was surprised and said:
— Well, you have a strange wish, but I must have the fish. So let the price be paid.
After fifty lashes the fisherman cried:
— Stop! Stop! I have a partner in this business and he should get his fifty lashes, too.
The rich man asked:
— Where can I find him?
The fisherman said:
— He is your own servant. He would not let me pass until I promised to give him half of what I got for the fish.



Tom left home hungry in the morning. He walked along the streets, and he did not know where he was going. Suddenly he found himself near the king's palace. He came up to the gates and looked at the soldiers who were standing there. Suddenly he saw a good-looking boy, who was beautifully dressed. That was a prince, a real prince. Tom was so happy to see a prince, but the next moment one of the soldiers pushed him away and Tom fell down. The young prince ran up and cried out to the soldiers:



— Open the gates and let him in!
The soldiers opened the gates. The young prince, Edward Tudor, said:
— Come with me, friend.
He took Tom to a beautiful room in the palace.
— What is your name? — asked the prince.
— Tom Canty, sir.
— And where do you live?
— In Offal Court, sir.
— Have you parents?

— Gnädiger Herr, wollen Sie mir nicht einen Gulden schenken? Seid so barmherzig! Meine Mutter ist sehr krank und wir haben kein Geld. Wir sind arm.
Der Kaiser gab ihm den Gulden und fragte:
— Wo wohnt deine Mutter? Wie heisst sie?
Der Knabe beantwortete die Fragen des reichen Herrn und lief sofort zum dritten Arzt.
Der Kaiser fuhr dagegen zu der kranken Frau. Sie sagte, als er ins Zimmer eintrat:
— Guten Tag, Herr Doktor! Bitte, helfen Sie mir. Ich bin so sehr krank.
Dann erzählte sie noch recht lange über ihr elendes Leben. Der Kaiser hörte aufmerksam zu und am Ende sagte er:
— Ich will Ihnen jetzt ein Rezept verschreiben.
Er nahm ein Stück Papier und schrieb das Rezept. Dann verabschiedete er sich und verliess das Zimmer der kranken Frau.
Nach einer Minute kam der rechte Arzt. Er begrüßte die Frau und sagte:
— Was fehlt Ihnen?
Die kranke Frau antwortete:
— Wollen Sie mich auch untersuchen?
— Ich verstehe Sie nicht, — sagte der Arzt.
— Sie sind schon der zweite Arzt, der mich untersuchen will. Dort auf dem Tisch liegt das Rezept, das der erste Arzt verschrieben hat.
Der Arzt nahm das Rezept in die Hand. Dann sagte er:
— Das ist ein ausgezeichnetes Rezept. Sie haben 5000 Gulden bekommen.
Ein besseres Rezept kann ich Ihnen nicht verschreiben.

Elschen ist zehn Jahre alt. Die liebe Tante fragt:
— Elschen, sage mir, was weissst du über die Kindheit Moses?
Elschen antwortet der lieben Tante:
— Moses war der Sohn der Prinzessin von Ägypten.
Die liebe Tante sagt:
— Nein, mein Kind, so war es nicht. Die Tochter Pharaos spazierte am Fluss und fand Moses in einem Körbchen.
— Ja, so sagt sie, — antwortet Elschen.

Der kleine Fritz schreibt einen Brief an seine liebe Tante, die keinen Mann und keine Kinder hat.
Fritzenschen ist ein gutes Kind und deswegen schreibt er einen sehr langen Brief. Er sagt:
— Tante Hedwig wird sich freuen, nicht wahr, Mutti?
— Ja, ja, mein Kind. Schreib nur fleissig.
Und Fritzenschen schreibt. Er schliesst seinen langen Brief auf der vierten Seite. Er beendet ihn folgend:
„Bei uns ist sonst nichts passiert, nur unsere Katze hat neun Junge bekommen. Dasselbe von Dir hoffend, verbleibe ich Dein Dich liebender Fritz“.



— Coś ty! — zawołał. — To nie trudnego: idziesz do biblioteki i znajdujesz wszystko, o co ci chodzi. Potem tylko skleić to do kupy i możesz gadać. Nie potrzeba do tego specjalnej mądrości!

Mylił się. Trzeba było do tego mądrości i z nas dwojga on był z pewnością mądrzejszy, choć tak niedawno przybył do tego wielkiego miasta, choć przedtem nie chodził do teatru ani do opery i nie umiał poprawnie odczytać nazwy francuskiego baletu na lodzie, który właśnie przyjechał na gościnne występy. A jednak miał mądrość, której mu zazdrościli: wierzył w siebie i w swoją szczęśliwą gwiazdę, wierzył w nią zawsze i teraz dał temu wyraz, mówiąc wesoło, że trzeba życie brać za rogi jak byka, bo inaczej nie się nie wskóra. Odezwała się żartem, że sam wygląda teraz jak szarżujący byk, tak, był potężny i pełen energii, wtedy on roześmiał się, przyłożył swój policzek do mojego i zaczął mnie trzeć ilesily nie ogoloną brodą, był to jeden z jego ulubionych dowcipów. Krzyknęłam, że prelegenci powinni się golić codziennie, ale on odparł, że na razie jest w okresie próbnym, a poza tym brzytwą mu się stepiła. Zapytałam, kiedy wreszcie wyrzuci to staromodne paskudztwo i przekomarzaliśmy się na ten temat, a potem rozmawialiśmy jeszcze chwilę o tym, jaki jest ostatnio zapracowany i nieuchwytny, ba, odniosłam wrażenie, że niektórzy znajomi czuli się lekko dotknięci tym, że ich zaniaduje.

— Na przykład kto? — zapytał.

— Na przykład Franciszek.

— Ten pajac — powiedział Maurycy.

Byłam rada, że udało mi się przez cały czas zachować pogodny ton. Maurycy najwidoczniej dał się na to nabrać. Pożegnał się ze mną dość przyjaźnie i obiecał, że nazajutrz zadzwoni. Miesiąc upłynął nim zobaczyłam go znowu.

* * *

A teraz, gdy wreszcie dojechałam do punktu, z którego wszystko zaczyna się staczać prościutko do kastastrów, muszę powiedzieć, że właśnie w tym okresie byłam najdalej od myśli,

niedowierzaniem i mrknął „Halo!” potem nagle chwycił mnie pod rękę.

— Puść mnie — powiedziałam. — Jesteś wstawiony.

— Jestem urzęnięty — poprawił. — Jestem wykończony. Do cholery z takim życiem! Dlaczego ja żyję?

— Nie mam pojęcia — odrzekłam kwaśno. Wciąż jeszcze byłam chłodna i nie chciałam się poddać.

Ujął mnie silnie za ramię i biło pod jego stopami zaczęło gęstnieć.

— Usiądźmy gdzieś — jęknął. — Proszę cię, usiądźmy sobie, albo pozwól mi się otruć i niech to wszystko szlag trafi.

Siedzieliśmy w malej, obскурnej kawiarence, w najdalszym kącie pokoju, gdzie hałaśliwa młodzież godzinami przesiadywała przy winie i nikt się nikim nie interesował. Maurycy trząsł głową, ale depresja nie ustępowała. Na próżno usiłowałam nakłonić go do zwierzeń. Marszczył czoło i powtarzał w kółko, że nie warto żyć, bo wszystko jest bez sensu i nie ma nikogo, kto by go zrozumiał.

— Nieprawda — powiedziałam. — Masz mnie.

Tama pękła. Nie zastanawiałam się już, czy postępuję taktycznie, czy też tracę w tym momencie wszystkie swoje szanse. Cóż jeszcze było tu do stracenia? Mówiłam i mówiłam, teraz dopiero powiedziałam to wszystko, co przygotowałam sobie przed miesiącem. — Masz mnie! — powtarzałam. — Ja jedna jestem twoim prawdziwym przyjacielem. Ja jedna nigdy cię nie zawiodę!

Zacząłam płakać. Na jednym oku tusz mi się rozmazał i szczypało okropnie. Maurycy wiercił się na krześle i patrzył, czy ktoś nie

widzi, ale młodzież zajęta była sobą, krzyczała i hałasowała szklankami. Przycisnęłam to oko chustką, a drugim patrzyłam na Maurycyego, który pochylał się nad mną i mówił coś bardzo przedko, zrozumiałam, że mnie pociesza i za coś dziękuje i wreszcie że mnie nazwała swoim najlepszym kumplem.

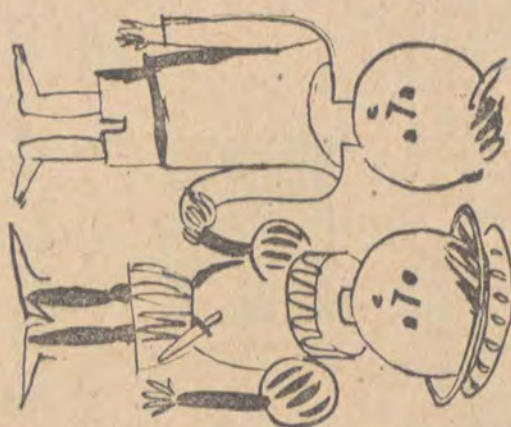
— Więc dlaczego? — krzyknęłam z rozpaczą. — Dlaczego byłeś taki niedobry, dlaczego mnie wciąż obelgiwałeś i nie dzwoniłeś do mnie i uciekałeś ode mnie, dlaczego?

— Mam ciężkie zmartwienie — powiedział. — Bardzo ciężkie zmartwienie.

I wtedy dopiero, w tej zadymionej, mrocznej kawiarence, dowiedziałam się, że to dom Maurycyego był przy czyną wszystkich jego utrapień, ten miły niegdyś, przy-



— Yes, sir, I have parents and a grandmother and two sisters.
— How old are your sisters?
— Fifteen years old, sir.
— Do your sister allow their servants to smile?
— Oh, do you think that they have servants?
— Why not? Who helps them to dress in the morning



and undress at night?
— Nobody, sir. Do you think that they take off their clothes at night and sleep without them like beasts?
— But have they only one dress?
— Of course, sir. They have only one body, so they have only one dress.
— Is your life very hard in Ofal Court?

— 150 — VOR GERICH

Ein reicher Mann ging zum Richter und sagte:
— Herr Richter, mein Diener ist ein frecher Mann.
— Warum ist er ein frecher Mann? — fragte der Richter.
Der reiche Mann antwortete:
— Er sagte zu mir: „Mein Herr, Sie sind ein Idiot.“
— Das ist nicht schön, — sagte der Richter und liess den Diener rufen.
Der Diener kam und wurde bestraft.
Nach Schluss der Verhandlung fragte der Diener den Richter:
— Darf man niemals zum Herrn IDIOT sagen?
— Nein, selbstverständlich niemals, — antwortete der Richter.
— Darf man aber zu einem Idiot GNÄDIGER HERR sagen? — fragte wieder der Diener.
— Natürlich, das dürfen Sie, — antwortete wieder der Richter.
Dann wandte sich der Diener an den Ankläger und sagte:
— Adieu... gnädiger Herr!



— No, not very. Only when I am hungry. We boys in Ofal Court often laugh and play. In summer we often play in the river.
— I want very much to play in the water. I want to have your clothes.
— And I want very much to put on your beautiful clothes, sir.
— But only for a few minutes.
So Tom Canty put on the prince's beautiful clothes and the prince put on Tom's dirty old clothes.
Suddenly the prince saw a big blue mark on Tom's hand.
— Did the soldier do that to your hand?
— Oh, it is nothing.
— Oh, yes, it is. I shall speak to that soldier. Wait here. I shall come back at once.
The prince ran out of the room and cried to the soldiers:
— Open the gates!
The soldiers opened the gates and pushed the prince into the street. The prince jumped up and ran to the soldiers.
He cried:
— Open the gates! I am the prince!
But the soldiers and the people in the street only laughed.

(to be continued)



IM ZUG

— Hier dürfen Sie nicht bleiben, mein Herr. Dieser Abteil ist für Nichtraucher, — sagte der Schaffner zu einem Reisenden, der eine Zigarette rauchte.
Der Reisende antwortete:
— Ich bin Nichtraucher.
Der Schaffner sagte wieder:
— Sie rauchen doch aber!
Der Reisende schaute ruhig auf seine brennende Zigarette und antwortete:
— Nur ganz ausnahmsweise...

EIN GUTES REZEPT nach J. P. Hebel

Eine arme und kranke Frau sagte zu ihrem 10-jährigen Sohn:
— Kind, hol mir einen Doktor. Ich bin sehr, sehr krank.
Der Knabe lief zum ersten Arzt und zum zweiten, aber keiner wollte kommen, denn der Junge hatte kein Geld.
Er hatte nur Tränen in seinen Augen. Die Tränen sind gut im Himmel, aber nicht bei allen Leuten auf der Erde.
Als der Knabe zum dritten Arzt auf dem Weg war, fuhr langsam Kaiser Joseph in einer offenen Kutsche an ihm vorbei. Der Junge kannte seinen Kaiser nicht. Er hielt ihm nur für einen reichen Herrn und sagte zu ihm:

Dalszy ciąg ze str. 9

Mieszkanie było niskie, mansardowe, o czym zresztą Maurycygo uprzedzono i składało się z korytarzyka, pokoju i kuchni. Okno pokoju wychodziło na rozległy teren, rozjeżdżony i błotnisty, poprzegradzany drewnianymi płotami, które otaczały poszczególne budowy wraz z całym właściwym im malowniczym bałaganem. Wzrok Maurycygo błąkał się po rusztowaniach, w dali jeden blok był już prawie gotowy, niedługo wprowadzą się tam ludzie, może jeszcze zdąży przed zimą. Tuż na wprost okna, po drugiej stronie ulicy, też coś wykańczano, lecz nie był to dom mieszkalny. Budynek był długi, parterowy, miał olbrzymie otwory okienne, jeden obok drugiego. — Sklep — domyślił się Maurycy. To doskonale, nie będzie trzeba nosić paczek z miasta. Zadowolony odszedł od okna.

Nazajutrz przywiózł walizkę i składane łóżko — jedyny mebel, jaki w tej chwili posiadał, przywiózł także tobolek z pościelą, owiniętą w zrudziały kocyk. Rozpakowując ten ubogi dobytek, postanawiał sobie, że gdy tylko stanie trochę pewniej na nogach, kupi na raty kilka niezbędnych mebli. Nie powiedział mi, dlaczego nie postarał się sprowadzić tych niezbędnych przedmiotów z domu, który opuścił, przenosząc się do naszego miasta. Może to, co zostawił, było równie ubogie, a może odjechał stamtąd w gniewie i nie miał ochoty powracać. Nie pytałam go o te sprawy i do dziś nie wiem, jak z tym naprawdę było.

Prawie jednocześnie doko-

nał się w jego życiu ważny przełom, tak przynajmniej określał Maurycy moment, gdy pozwolono mu spróbować sił w roli prelegenta. Od wyniku tej próby zależało, czy obejmie na stałe to stanowisko, toteż, choć pewien powodzenia, postanowił sobie zabrać się zaraz solidnie do roboty, by nie wyzywać losu, który dawał mu tę wspaniałą szansę.

Przyznać trzeba, że Maurycy miał dryg do gadania i umiał sprzedać nabląszone swe wiadomości, podsuwając je wybranej osobie jak na tacy. Przy tym, gdziekolwiek się znalazł, lubił wlać ludziom w oczy, wszędzie było go słychać, zdawał się wciąż mówić: „Patrzcie, ja tu jestem, nie zapomnijcie o mnie!“ Widać nie była to zła metoda, skoro tak szybko wydała owoce.

Miał parę tygodni czasu do rozpoczęcia cyklu swych odczytów, zdecydował się więc wystartować efektywnie, biorąc na warsztat mało ograny temat. Popołudnia spędzał w bibliotece robiąc notatki, czasem spotykał się z Franciszkiem, ale też głowę nie po to, aby podyskutować nad wybranym zagadnieniem. („Pamiętasz?“ — zapytał, a ja skinęłam głową.) Wczorami siedział na swoim składanym łóżku i kartka po kartce zapisywał w grubym brulionie to wszystko, co przemysłał sobie w ciągu dnia. Już wtedy wiedział, że w domu nie ma innych lokatorów prócz niego, ale nie robiło to na nim wrażenia. Najwyżej mógł być zadowolony, że nikt nie hałasuje i nie przeszkadza mu w pracy. Biuro wynosiło się o trzeci — był to zarząd jakiejś niemrawej spółdzielni — i po południu w całym domu panował niezamącony spokój.

Za oknami szybko rosło osiedle. Wkrótce miała to być jedna z reprezentacyjnych dzielnic, gazety rozpisły się o niej. Pawilon handlowy przed oknami nie był już teraz samotny: z lewej i prawej strony wyrosły dwa bliźniacze budynki, ciągnąc się wzdłuż ulicy. — Co za rozmach! — myślał Maurycy, wychylając się z okna. — To przecież cała dzielnica sklepów! — Był dumny, że mieszka w tej nowoczesnej dzielnicy, której istnienia nawet nie podejrzewał, gdy tu przybył do obcego, nieprzyjaznego miasta.

Czasem ogarniał go niepokój. „To jest za dobre, aby miało trwać długo“ — pomyślał kiedyś.

Pierwszy raz, gdy zaczęły się dziać te dziwne rzeczy, zirykował się bardzo, ale nie przeszło mu nawet przez myśl, że może to mieć wpływ na jego losy. Obudził go w nocy jakiś hałas — być może wiatr trząskał drzwiami na dole — i gdy tak leżał rozespany, wydało mu się, że słyszy jakieś szmery na schodach. Nasłuchiwał przez jakiś czas, lecz szmer się nie powtórzył, więc uznał to za złudzenie. Już zasypiał, gdy nagle zerwał się i usiadł, rozbudzony i czujny: ktoś szedł po schodach bardzo cicho i bardzo powoli, stopień za stopniem. Pomyślał, że to złodzieje chcą obrabować biuro, ale kroki minęły pierwsze piętro i zaczęły się zbliżać, aż dotarły do samych drzwi i tu umilkły. Począł jeszcze chwilę, potem wstał cicho z łóżka i nie zapalając światła, bosy, zaczął się skradać ku drzwiom. Po drodze namacał na oknie brzytwę — w mieszkaniu wciąż jeszcze nie było stołu — otworzył ją i poczuł się rażnięty. Za drzwiami panowała głucha cisza. „Kto

tam?“ — krzyknął jak umiał najgłośniej, lecz nikt nie odpowiedział. „Kto tam?“ — powtórzył raz jeszcze. Stał bosy w korytarzu, z otwartą brzytwą w ręce, było mu zimno, szczełakał zębami. Upłynęło ze dwadzieścia minut, po tamtej stronie nikt się nie poruszył. Maurycy jeszcze raz pomyślał, że uległ złudzeniu. Najciszej jak mógł otworzył zatrzaś-

prysło. Jednym skokiem wradł do mieszkania, zatrzaśkując za sobą drzwi. Pozapalał wszystkie lampy, usiadł na łóżku z otwartą brzytwą w ręce i tak przesiedział do chwili, gdy zrobiło się widno i pierwsi robotnicy zjawili się na budowie.

Kim była i czego chciała ta upiorna istota? Pijany z



i wysunął głowę przez uchylone drzwi. Schody zalegała nieprzenikniona ciemność, dla jednego lokatora nie opłacało się instalować oświetlenia. Nie widząc nic, zrobił krok naprzód i nagle zamarł ze zgrozy: ktoś tam stał w ciemności, nieruchomy i milczący. Maurycy wytrzymał tę obecność o ułamek sekundy wcześniej, nim twarz jego musnął czyjs lekki oddech. To było wszystko, lecz to było bardziej przerażające, niż gdyby uzbrojony bandyta zniemacka rzucił się na niego.

Opanowanie Maurycygo

niewyspania wyszedł na miasto i wsiadł do tramwaju, usiłując zaprowadzić jakiś ład w swoich myślach. Tramwaj jechał zwykłą trasą, wszystko było tak samo jak co dzień, powoli Maurycy zaczął się uspokajać. — Może jednak mi się przywidziało — pomyślał jeszcze raz. Przypomniał sobie, jak stał w bieliźnie z brzytwą w ręce i zachciało mu się śmiać. To z pewnością drzwi na dole napędziły mu takiego strachu, nie miały zamków i były kompletnie spalone, wiatr otwierał je i zamykał z hałasem. Powinny być na-

prawione przed zimą. Postanowił pomówić o tym z zarządem spółdzielni, dom był ich własnością, dlaczego właściciel nie sił tu o nie nie troszczył?

Lecz tego dnia nie udało mu się wrócić przed trzecią i w biurze nikogo już nie zastał. Po ulicy kłębił się tylko zgarbiony człowiek z motlą, którego Maurycy widział już kilka razy i nawet początkowo przypuszczał, że tu mieszka. Spróbował go zagadnąć, lecz człowiek ten, który wyglądał, jakby zamierał ze starości, najwidoczniej w niczym się nie orientował poza pracą, która mu przydzielono. Codziennie sprzątał schody, zamiatał ulicę, potem odchodził. Pilnowanie domu nie należało do niego. — Oni — tak mówił o właścicielach domu — oni mają w biurze mocne kraty i rygle, mówią, że nie potrzeba pilnować. — A ja? — spytał Maurycy. Staruszek patrzył na niego z dołu, przekrzywiając głowę. — Zebry chociaż naprawili te drzwi! — ciągnął Maurycy dalej. — Czy pan wie, co mi się dziś w nocy zdarzyło? — Teraz, gdy patrzył z bliska na ten dom, zaczął znów wierzyć w realność swojej nocnej przygody. — Ja tam nie wiem — powiedział dozorca — ale oni tu nie nie będą robić. Powiadają, że ten dom pewnie będzie rozebrany, a jak nie, to też im go zabiorą. Oni tu nie nie będą robić, panie. — Odszedł drobnym, nierównym kroczkiem, odwrócił się i dodał: — Szkoda gadać, panie.



MITOMANIA CZY REALNOŚĆ TV SZKOLNEJ?

W ministerialnym wykazie niezbędnych pomocy szkolnych nie znajdziemy w żadnym spisie aparatu zwanego telewizorem, chociaż TV polska po raz trzeci w tym roku szkolnym przystąpiła do współpracy ze szkołami.

I na tym małym słówku: „współpraca” — stop. Wielkie, alarmujące — STOP!

Odłożę tymczasem na bok analizę emitowanych audycji szkolnych, ich przydatności, wartości dydaktycznej, celowości et cetera — ani przez chwilę zresztą nie wątpię o ich wielkich wartościach, jednak — po co wysilać się na mądrości teoretyzowania, jeżeli telewizja szkolna idzie w próżnię? Oczywiście, nie całkowicie, lecz prawie jakby. Mógłbym na przykład zastosować próbę reprezentacyjną (ach, ta socjologomania!), i co trzeciej łódzkiej szkole zadać parę niewinnych pytań w rodzaju: czy po pierwsze: posiada telewizor?, a jeśli posiada, to po drugie: jak układają się proporcje ilościowe między posiadanym telewizorem a liczbą młodzieży, i po trzecie, jeśli posiada, to gdzie ten przyrząd stoi? — W gabinecie dyrektora szkoły? — Dziękuję.

Próbki nie przeprowadziłem, a dokładne sprawozdanie — co, gdzie i jak — podam w następnym felietonie. Temat raczej dość

smutny, należy go więc urozmaicić niespodzianką. A niespodzianki — wiadomo, mogą być niezwykle przyjemne, mniej przyjemne i niezwykle mało przyjemne. Co do tej, obiecanej, zobaczmy.

Dlatego postanowiłem opowiedzieć pewną historię, a mianowicie o tym, jak sobie wyobraża Naczelna Redakcja Programów Oświatowych swoją Telewizję Szkolną („swoją”, ponieważ ta redakcja nie darmo nazywa się naczelna, i jak dotąd — posiada jedyny i wyłączny monopol na emisję teleekcji. Łódź ma otrzymać prawo — niesprecyzowane dotąd — ech, głupstwo, raptem wybija koniec listopada — robienia jakichś tam audycji — wyłącznie dla szkolnictwa podstawowego.

„Audycja szkolna powinna stać się nierozłączną częścią pracy nauczyciela w klasie” — powiada Naczelna Redakcja.

Ażebym zaś stała się taką nierozłączną częścią to i klasa (zastępny dyplomatykiem: szkoła, bo jeszcze ktoś z nas ułoży pochopne hasło: „w każdej klasie telewizor!”), i nauczyciele muszą mieć do dyspozycji telewizor, jasne, jak to, że dwa razy dwa czyni cztery.

Ale w tym wypadku czterech nie jest. Bo dalej tak so-

bie marzy Naczelna Redakcja: „Najlepszym miejscem dla zainstalowania odbiornika jest kąt klasy obok katedry nauczyciela”. Oraz: „W zasadzie audycje powinny oglądać jednorazowo tylko jedna klasa”.

No więc wybieramy szkołę, w której jest telewizor. Jeden. Więcej to utopia. Aha — wybieramy szkołę, w której telewizor jest używany. (nie w gabinecie dyrektora). I to ma być audycja z działu fizyki: „Od biegu do biegu”. Nauczyciel, który przecież bardzo chce, aby audycja stała się nierozłączną częścią, itd. prowadzi swoją klasę na teleekcję. Klasę? — W myśl wskazań Naczelnej — tylko jedną klasę. (założenie zupełnie słuszne, przy większej ilości młodzieży teleekcja „rozłoży się”). Jednak w myśl wskazań tej samej Naczelnej nauczyciel fizyki nie może zaprowadzić jednej tylko klasy, bo audycja „Od biegu do biegu” przewidziana jest w programie dla klas od VII do X, a więc dla czterech klas! Pomijam tu fakt, którego Naczelna Redakcja nie uwzględniła w swoich metodycznych wskazówkach, że liczba klas jest zazwyczaj w każdej szkole podwójna. Więc nie jedna klasa, tylko wiele klas, więc projekcja chyba — na sali gimnastycznej, więc zawalony cały plan normalnych zajęć lekcyjnych.

Dylemat hamletowski. Być albo nie być TV szkolnej. Nie rozwiąże go, dzięki pomysłowości i wyjątkowej zdolności planowania Naczelnej Redakcji nawet utopijne hasło: Telewizor w każdej klasie.

Dylemat? Raczej błędne koło, drodzy państwo, lub lepiej: jedno z wielu błędnych kół.

KOWALSKI

NASZ WYWIAD:



z naczelnym inżynierem ŁOT Jerzym Ostrowskim

Inż. J. Ostrowski był głównym projektantem i kierownikiem budowy Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego.

— Czy poza łódzkim ośrodkiem brał pan także udział w budowie innych ośrodków telewizyjnych w kraju?

— Owszem, byłem współprojektantem budowy dość wieloletniego ośrodka TV w Warszawie. Ponadto projektowałem poznański ośrodek telewizyjny.

— Budując łódzki ośrodek wiedział pan oczywiście, że zostanie pan w nim naczelnym inżynierem?

— Niestety, wtedy nie przypuszczałem, że będę w nim pracował. Gdybym wie dział, na pewno bym go lepiej zaprojektował.

— Jaka jest różnica między ŁOT, a TON?

— Otóż ŁOT przygotowuje i emituje program lokalny i ogólnopolski. Odbijają w nim także praktyki studenci Szkoły Filmowej. Podstawowym naszym zadaniem jest wytworzenie obrazu i dźwięku w studio TV. TON jest natomiast rodzajem transportera, nośnika, który obraz i dźwięk przez nas wytworzony dostarcza odbiorcy — w tym wypadku telewizzom. Na przykład problem zmiany kanału nas

zupelnie nie dotyczył. U nas w studio nie się w związku z tym nie zmieniało. Zdarza się oczywiście, że niektórzy mylą nas z TON. M. in. z okazji przejścia TON z kanału szóstego na siódmy otrzymaliśmy od redaktora „Karuzeli” Leopolda Becka niezaskuszone gratulacje.

— Chce pan więc przez to powiedzieć, że winą za wywieszkę z napisem „PRZEPRASZAMY ZA ZAKŁOŚCIE W ODBIORZE”, czy ewentualnie „NIE REGULOWAC ODBIORNIKÓW” spada wyłącznie na inżyniera Ł. Wiszowatego, a nie na pana.

— Na to by wychodziło, ale i on również nie jest winien. Niestety, muszę się przyznać, że jesteśmy ośrodkiem, który najwięcej przepasza. Ale robimy to zawsze w czynnym imieniu, mając oczywiście na względzie nerwy naszych widzów. Należy zaznaczyć, że istnieją obiektywne trudności jeżeli chodzi o pracę łącz — bo tak się to fachowo nazywa. Sieć łącz TV jest bowiem nadmiernie w Polsce rozciągnięta. Np. niektóre łącza powinny pracować maksymalnie na 40-kilometrowych odcinkach, a pracują jednak na odcinkach o wiele dłuższych. To jest

niestety konieczne, gdyż w przeciwnym wypadku pozba wiłbyśmy 1/3 widzów możliwości odbioru programu.

— Czy może pan powiedzieć jakie audycje najtrudniej się emituje?

— Przede wszystkim wszelkiego rodzaju widowiska i sztuki teatralne. Nikt tak jak my nie zdaje sobie sprawy z tego, że kilka tygodni pracy całego zespołu aktorskiego, kilka tygodni prób zależne jest od sprawności jednej z 5 tys. lamp jakie znajdują się w naszym studio. Gdyby w czasie nadawania programu choć jedna z nich wysiadła, cały wysiłek i efekt artystyczny poszłoby na marne. Świadomość tej odpowiedzialności jaka na nas wtedy ciąży jest niezmiernie wyczerpująca. W czasie spektaklów teatralnych zespół techniczny ma nie raz większą treść niż artyści grający sztukę. Muszę dodać, że jak dotąd, z naszego powodu nie było żadnych kłopotów, nie przerwaaliśmy ani jednej audycji. Choć bywa i tak, że zaczęliśmy nadawać program na 3 kamerach, a kończymy tylko na jednej.

Rozmawiał:
KAROL BADZIAK

LUBIĘ AKTORA:



Dzierżewskiego

Przedstawienie „Pana Topaza” w Teatrze TV można nazwać spektaklem Edwina Dzierżewskiego, gdyż on adaptował, reżyserował i grał tytułową rolę w tej świetnej komedii Marcela Pagnola. Nazwisko to jest bardziej znane naszym kinomanom niż miłośnikom teatru. No cóż, widzieliśmy w ostatnich latach wiele filmów Pagnola, jak np. „Listy z mojego młyna” wg. Daudeta czy „Żonę piekarza” z genialnym Raimu, lecz nie mieliśmy okazji poznać Pagnola jako dramaturga. To też dobrze się stało, że z jego komedią zapoznano szeroką publiczność telewizyjną. „Pan Topaz” ustępuje późniejszym sztukom tego autora z cyklu marsylskiego („Mariusz” 1930, „Fanny” 1931, „Cezar” 1936), ale z pewnością przewyższa pozostałe, jak np. „Handlarze sławy” (1924) czy „Jazz” (1926). Właściwie Marcel Pagnol stał się sławnym od czasu premiery „Pana Topaza” w Theatre de Varietes w 1928 r. Komedie ta zdobyła sobie wówczas olbrzymią popularność, czego przy czyn należy szukać w bardzo współczesnym jak na owe czasy (i chyba po dziś dzień) temacie. Ostra, demaskująca satyra na wielką finansjery, odważne ukazanie rozluźnienia zasad moralnych wśród społeczeństwa, wzbudziło ogromne zainteresowanie i przyniosło rozgłos autorowi. Słusznie mówi Nicoll o Pagnolu, że: „z zimnym opanowaniem posługuje się śmiechem w celach na wskroś satyrycznych”. Sukces „Pana Topaza” na scenie wpłynął na decyzję przeniesienia go do sal kin-

nowych. W 1932 r. weteran francuskiej kinematografii Louis Gasnier realizuje pierwszą wersję filmową tej sztuki. Nie można powiedzieć, żeby powstał film najprzedniejszej marki, ale powodzenie miało bardzo duże. Rolę tytułową kreował Louis Jouvet. Oglądając film można było dojść do wniosku, że komedia została napisana specjalnie dla tego aktora. Po raz drugi sfilmowano „Pana Topaza” w 1951 r., tym razem bez żadnego powodzenia. Tyle o „Topazie” scenicznym i filmowym, kolej na telewizyjnego. Duszą poniedziałkowego spektaklu był Edwina Dzierżewski. Adaptacja bez zarzutu; gorzej natomiast było z reżyserią. Przedstawienie miało charakter za bardzo teatralny, a za mało telewizyjny. Nie wykreślił Dzierżewski tak telewizyjnego planu, jakim jest zbliżenie. Stosunkowo najlepiej wypadł ostatni fragment, którego akcja toczyła się w gabinecie Topaza. Natomiast słabo prezentowała się scena w buduarze, gdzie aktorzy ginęli w przedstawianych dekoracjach. Takiej „graciarni” już dawno nie było w scenografii telewizyjnej, dzięki niej powstały zupełnie dziwaczne sytuacje, np. aktorzy (Dmochowski) wchodził na plan bez głowy, gdyż zastąpił je potężny biały gąbzur.

Spektakl wypadł poprawnie głównie dzięki dobremu aktorom, a Dzierżewski zagrał chyba jedną ze swoich życiowych ról. Wydaje mi się, że góruje nad nią tylko kreacja w „Eroice” i telewizyjnej „Pasazerce”. Historię przemiany zahukanego

nauczyciela w rekin finansjery wygrał Dzierżewski wręcz znakomicie. Pozostali aktorzy na dobrym poziomie (może z wyjątkiem Szafliarskiej, która była mało przekonująca), szczególnie Edmund Fiedler w świetnej scenie na początku sztuki, w której uczył Topaza „podrywania” kobiet. Podkład muzyczny Ireny Wodiczko idealnie odpowiadał nastrojowi komedii. W sumie przedstawienie mimo wymienionych błędów było ciekawe i „dało się oglądać”. Wracając do Dzierżewskiego, to oglądałem go jako aktora w bardzo częstych występach telewizyjnych i rzadziej filmowych, a porównując go z Dzierżewskim — reżyserem (np. „Konsekwentna żona” W.S. Maughama) muszę stwierdzić bezapelacyjną wyższość tego pierwszego. Niektórzy zarzucają mu szarżowanie, wąską galerię kreowanych postaci itp. Może mają rację, ale muszę się przyznać, że lubię Dzierżewskiego, Aktora.

TADEUSZ WIĄCEK

P.S. Doszło już do tego, że przed spektaklem warszawskiej TV można już zerwać zdanie w recenzji o tym, że aktorzy znowu nie nauczyli się tekstu. Smutne, ale prawdziwe.

odgłosy

str.
11

Duże brawa dla ORMO

Wpływ księżycy na rozwój dorozkarskiego w Łodzi może budzić poważne wątpliwości, ale wielki wpływ działalności Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej na porządek w naszym mieście nie budzi absolutnie żadnych.

W Łodzi działa około 5,5 tys. ORMO-ów, którzy w roku 1961 odbyli 17.554 służb, a więc oddali na rzecz miasta 111.000 godzin pracy. Ale to jeszcze mało mówi.

Nasi ORMO-woy przeprowadzili w ciągu roku 1961 — 1.054 rozmaitych interwencji, zatrzymali 524 ananów za zakłócanie porządku publicznego i przyskrzynili 235 przyskrzyniaków, którzy dokonali rozmaitych przestępstw. Jakich?

Proszę bardzo, podamy dla przykładu co nieco. W ZPW „Wiosna Ludów” ORMO-woy wykryli paczkę z cennymi swetrami, które miały iść w świat „po cichutku”, ujawnili też wcale niemałe nadużycia kierownika gospodarczego. Ów pan pracował w pocie czoła nad fałszowaniem dokumentów kasowych. W ZPW im. Barlickiego wykryli wyjątkowo upartego złodzieja wełny ubraniowej. A akcje przeciwko chuliganom, „konikom”, pokątnym sprzedawcom wódki, a patrolowanie ulic, opieka nad zieleńcami, stanem sanitarnym domów i ulic, a tłumaczenie dozorcom do czego służy motyla, a dziesiątki innych akcji?

Nasi ORMO-woy zgłaszają kilka próśb komu trzeba — chcieliby mieć bezpłatne bilety tramwajowe i autobusowe podczas pełnienia służby, więcej mundurów, kilka lokali na własne potrzeby, więcej ochotników spośród inteligencji, no i odrobinę

konkretnego uznania, co w rodzaju — książeczek pracy społecznej, czy Odnaki Uczestnika Pracy Społecznej.

Jak slychać, te skromne prośby, wzięły sobie mocno do serca nasze władze partyjne, miejskie i Komenda MO. To ładnie.

O czym powinieneś wiedzieć?

Naszemu czytelnikom pragniemy podać trochę informacji o naszej łódzkiej prasie, sądząc bowiem, że warto o tym wiedzieć.

Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” wydaje następujące pisma: „Głos Robotniczy”, „Dziennik Łódzki”, „Express Ilustrowany”, „Karusel”, „Odgłosy”, „Zycie Pabianic”, „Gazetę Ziemi Łódzkiej” i „Ziemię Łęczycką”, w sumie 8 pism. Ale tylko „Głos Robotniczy” posiada pełny kolportaż w całym województwie łódzkim, „Express Ilustrowany”, z niewiadomych nikomu przyczyn, dociera tylko do końcówek tramwajowych, z tych samych niewiadomych przyczyn i

„Dziennik Łódzki”, można kupić tylko w kilku większych miastach województwa. Dlatego w naszym województwie przeważa prasa centralna. „Karusel” jest kolportowana w całym kraju, „Odgłosy” głównie w Łodzi i województwie, chociaż pewna część nakładu idzie do większych miast w kraju, pozostałe czasopisma obejmują swoje regiony.

Gospodarstwo prasowe jest więc duże, wystarczy podać, że jednorazowy nakład pism łódzkich wynosi (dane za trzy kwartały br.) — 746.000 egzemplarzy. Jest to liczba nieco mniejsza od zaplanowanej. Dlaczego mniejsza? Z dwóch powodów. Prawie wszystkie pisma wydawane u nas zdradzają tendencje rozwojowe. Najsilniej wystąpiły te tendencje w tym roku w „Głosie Robotniczym” i „Odgłosach”, ale i Dziennik wraz z Expressem mogłyby także zwiększyć nakład. Nakłady są jednak limitowane, wskutek braku papieru nie można drukować więcej egzemplarzy.

A drugi powód — to prasa regionalna. Nie jesteśmy jej wrogami, przeciwnie, uważamy ją za czynnik aktywizujący tzw. teren. O ile jednak „Gazeta Ziemi Łódzkiej” radzi sobie dobrze z nakładami i sprzedażą, dwie pozostałe — „Zycie Pabianic”, a zwłaszcza „Ziemia Łęczycka” nie potrafiły dotąd rozwinąć żagli, nakłady spadają, procent zwrotów jest zbyt duży. Błąd tkwi zapewne w obliczu tych pism, ale nie nasza rzecz to sądzić.

„Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę”

Jaki pan, taki kram — powiada ludowe przysłowie. Jakie kwalifikacje pracowników, taka działalność instytucji. A jak jest właściwie z kwalifikacjami kadry naszych Dzielnicowych Rad Narodowych?

Bardzo rozmaicie i w sumie nieco lepiej niż było, ale wcale nie najlepiej. Po tym stwierdzeniu, które nikogo nie obraża, ponieważ można je rozumieć jak kto chce, podamy kilka cyfr.

Pięć DRN w Łodzi zatrudnia 881 pracowników. Spośród nich 3,4 proc. posiada wyższe wykształcenie, 44,7 proc. średnie i 51,9 podstawowe. Zupełnie nieźle jest w DRN Łódź Górna, gdzie 10,3 proc. inspektorów ukończyło studia wyższe, a 59 proc. szkoły średnie.

Spośród 54 kierowników wydziałów — 23 uzyskało dyplom wyższej uczelni, 22 posiada maturę, a tylko 9 ukończyło szkoły podstawowe. A więc i na tym odcinku sytuacja nie jest zła, zwłaszcza, że wszyscy przewodniczący komisji planowania gospodarczego są magistrami.

Nie ma jednak róży bez kolców, nawet w Radach Narodowych, bo oto wypada nam stwierdzić smutny fakt: ani jeden kierownik takich wydziałów jak finansowy, gospodarki komunalnej i mieszkaniowej nie ukończył studiów wyższych. I drugi fakt: na pięciu kierownikach w zarządach budynków mieszkalnych, tylko jeden uzyskał maturę, reszta zaledwie przebrnęła przez podstawówkę. I trzeci fakt z kategorii najsmutniejszych: na 91 kierowników administracji domów mieszkalnych ani jeden nie posiada wyższego wykształcenia, natomiast aż 67 procent tylko wykształcenie podstawowe. Biedni lokatorzy!

Powiedzmy jednak sprawiedliwie, że część kadry kierowniczej uzupełnia wykształcenie. Ale tych ambitnych doprawdy jest „mnóstwo za mało”. A przecież prawie połowa kierowników referatów to ludzie młodzi, jeszcze przed czterdziestką.

Trzeba więc gorąco prosić naszych ojców miasta, aby powiedzieli swoim dzieciom z RN nieco bardziej stanowczo: „Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę!”

PETER VIERECK



Peter Viereck: szczupła twarz i szczupłe ręce, skąpa, rudawa brodka i nerwowe ruchy; zrzuca marynarkę a potem sweter, i zaczyna mówić, gestykulując, a mówi dużo i chętnie i o wszystkim, bo wszystko go interesuje. Więc mowa jest i o młodych poetach amerykańskich i o „the unadjusted man”, człowieku nieprzystosowanym, o Robertie Frostie i o Zw. Radzieckim (który Viereck niedawno odwiedził), o beatnikach z San Francisco i o rozkładzie akcentów w polskim wierszu. Ale przede wszystkim mówimy o polityce, bo Peter Viereck, choć jest znakomitym poetą, autorem czterech tomów wierszy, uważa się przede wszystkim za publicystę. Pisanie wierszy jest dla niego przyjemnością, uprawianie publicystyki — obowiązkiem, którym obarczony jest współczesny intelektualista. Nie więc dziwnego, że ten profesor historii i filozofii, który walczył w Afryce i Italii, debiutował w roku 1941 własną książką na wskroś polityczną, książką o źródłach faszyzmu. Dopiero potem przyszył wiersze i choć już pierwszy tom, „Terror and Decorum” (1948), był sukcesem, bo poeta uzyskał za niego nagrodę Pulitzera (a krytyka uznała wówczas Vierecka za najwybitniejszego — obok Dylana Thomasa — z poetów, którzy debiutowali w pierwszym dziesięcioleciu po wojnie), Viereck nie zrezygnował z działalności publicystycznej. Możemy więc mieć nadzieję, że rezultatem wizyty tego świetnego intelektualisty w Polsce (w Łodzi Viereck spotkał się z pisarzami w Związku Literatów Polskich i ze studentami anglistyki) będzie nowa książka: jeśli tak się stanie, to będzie to z pewnością książka podobnie jak poprzednie, głęboko zaangażowana w spór o kształt świata, na którym żyjemy. J. M. R.

Jak kręcić, to kręcić

Nie jest tajemnicą, że nie zawsze, ale czasami niektóre związki twórcze można na takim filmie ująć, znajdując się w lepszej sytuacji niż inne. Na przykład filmowcy. Za zrobienie dobrego filmu realizatorzy i ekipa niezależnie od normalnych honorariów otrzymują tak zwane nagrody. Nagrody te są stosunkowo wysokie, na przykład za film „Ostrożnie Yeti” miały wypaść 324 tysiące złotych. Miały wypaść, ale nie wypadły, bo film okazał się chłabą. Piszę to bez zawiści, jakkolwiek należę do klanu, który takich dodatkowych honorariów nie otrzymuje. Nie słyszałem jeszcze, żeby które wydawnictwo doplacało autorowi za wydaną książkę. O takich praktykach wśród artystów również nie słyszałem. Ale szczęście Boże filmowcom, niech kręcą, byle dobrze. Ostatecznie filmy przynoszą niezłe zyski. Dowiedziałem się jeszcze,

że nie zawsze, ale czasami można na takim filmie ująć, znajdując się w lepszej sytuacji niż inne. Na przykład filmowcy. Za zrobienie dobrego filmu realizatorzy i ekipa niezależnie od normalnych honorariów otrzymują tak zwane nagrody. Nagrody te są stosunkowo wysokie, na przykład za film „Ostrożnie Yeti” miały wypaść 324 tysiące złotych. Miały wypaść, ale nie wypadły, bo film okazał się chłabą. Piszę to bez zawiści, jakkolwiek należę do klanu, który takich dodatkowych honorariów nie otrzymuje. Nie słyszałem jeszcze, żeby które wydawnictwo doplacało autorowi za wydaną książkę. O takich praktykach wśród artystów również nie słyszałem. Ale szczęście Boże filmowcom, niech kręcą, byle dobrze. Ostatecznie filmy przynoszą niezłe zyski. Dowiedziałem się jeszcze, że nie zawsze, ale czasami można na takim filmie ująć, znajdując się w lepszej sytuacji niż inne. Na przykład filmowcy. Za zrobienie dobrego filmu realizatorzy i ekipa niezależnie od normalnych honorariów otrzymują tak zwane nagrody. Nagrody te są stosunkowo wysokie, na przykład za film „Ostrożnie Yeti” miały wypaść 324 tysiące złotych. Miały wypaść, ale nie wypadły, bo film okazał się chłabą. Piszę to bez zawiści, jakkolwiek należę do klanu, który takich dodatkowych honorariów nie otrzymuje. Nie słyszałem jeszcze, żeby które wydawnictwo doplacało autorowi za wydaną książkę. O takich praktykach wśród artystów również nie słyszałem. Ale szczęście Boże filmowcom, niech kręcą, byle dobrze. Ostatecznie filmy przynoszą niezłe zyski. Dowiedziałem się jeszcze,

granicę, na wszystko damy, tylko zostań! Zirykowany Węgrzyn wybuchnął: — Chećcie, żebym przez całe życie tu harował za pasztetówkę? * * *

Bedąc w Łodzi, już po ostatniej wojnie, często jadł obiady w restauracji Tivoli. Gdy pewnego dnia rozglądał się szukając wolnego stolika, podszedł do niego lekko zawiązany gość. — Serwus! Siadać, zjemy razem obiad. Węgrzyn miał wielu znajomych, z którymi był na „ty”, ale nie wszystkich dobrze pamiętał. Gdy podano czarną kawę współbiedniak zawołał: — Panie starszy! Pół butelki koniaku, tylko najlepiej!

— Słusznie szanownemu panu — 300 złotych. — Nie ma sensu wydawać tyle forsy — obruszył się Węgrzyn. — Stać mnie na to. Czy nie mogę tracić się kieliszkiem z Jaraczem?..



oś druków podał
50. Cennik
JOZEF WĘGRZYN

ożenił się z p. Kurkiewiczówną, córką właściciela dużego sklepu masarskiego, stąd nęgo z doskonałych wdzi. Występował wtedy w Krakowie.

P. Węgrzynowa była pięknością o typie cygańskim i dużych marzących oczach. Matka i bracia uwielbiali jednynakę.

Po podpisaniu kontraktu z Teatrem Polskim rodzina uderzyła w płacz: — Józku, czy ci tu źle z nami? Zerwij kontrakt, zapłacimy. Macie piękne mieszkanie, możecie wyjechać za

Piękne dziewczęta węgierskie na łamach „Odgłosów”



Fot. A. Kobylński

KOMU MIESZKANIE?

Wyobraźmy sobie takie ogłoszenie w prasie: „Potrzebujemy dam mieszkających od zaraz”. I wyobraźmy sobie, ile by ofert napłynęło w odpowiedzi.

Tymczasem zdarzenie, które chcemy opisać poniżej, wcale tak bardzo nie odbiega od fantastycznego tekstu ogłoszenia.

Pani Zofia Sz. mieszka w śródmieściu w przedwojennym, ale bardzo porządnym domu z centralnym ogrzewaniem. Ma trzypokojowe samodzielne mieszkanie. Sama powierzchnia pokoi wynosi 40 m kw. Jedno tylko przeszkadza pani Zofii: mieszkanie jest na V piętrze, a ona i jej dziecko chorują na serce. Zgodziłaby się zamienić swój komfort na jakikolwiek pokój z kuchnią, byle na parterze, lub I piętrze.

Wydawać by się mogło, że władze kwatunkowe bardzo chętnie pójda na taką zmianę. Tymczasem mija już ponad 3 miesiące od

chwili złożenia podania, a pani Sz. nie ma żadnej odpowiedzi, nie przyszła do niej nawet komisja.

Zresztą pani Sz. ma również inne doświadczenia z kontaktami z kwaterunkiem. Rok temu z mieszkaniem wyprowadził się współlokator, więc złożyła prośbę o przydzielenie jej pokoju po nim. Odpowiedzieli jej: niech pani sobie pokój zajmuje, co nas to obchodzi. I decyzyj przez rok nie wydał.

Wydaje się, że wypadek pani Sz. jest w dużej mierze typowy; władze kwaterunkowe nie interesują się specjalnie obywatelami bogactwem, jakie stanowią stare mieszkania, z reguły o dużej powierzchni, gdzie można by ulokować setki licznych rodzin. Wielu ludzi za cenę nieplacenia nadmieru lub dla innych powodów, byłoby skłonnych pozbyć się dużego mieszkania. Ale kwaterunek zapatrzonny jest wyłącznie w nowe budownictwo. Albo o prostu wypisywanie decyzji na przydział mieszkań zajmuje urzędnikom wszystkie czas pracy. Władzom, budujemy dość dużo, a wypisywanie decyzji to rzecz tak samo pracochłonna, jak zbudowanie mieszkania. Tak przynajmniej można sądzić, porównując czas, potrzebny na wykonanie obu czynności.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.-, kwartalnie zł 12.- * Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” * Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 * Zam. 3364.XI. 62. A-6